

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII.

Warszawa, dn. 14. X. 1951 r.

Nr 41 (323)

JÓZEF MOZGA

Z NOTATNIKA SPÓŁDZIELCY

Siedzę od kilku godzin na dachu naszej spółdzielczej obory, przyjmuję podawane mi z dołu czerwone dachówki. Układa je wprawdzie mój kolega. Jest właśnie chwila przerwy. Widok stąd rozległy. W przodzie szkoła, budujący się dom ludowy, dalej za drogą do Gluchowa wyrastają pierwsze nowe domki mieszkalne członków kolektywu. Zupenie w tyle, na łagodnym podgórzu — pole, młode i wąskie jeszcze drzewka spółdzielczego sadu, najmłodszego sadu w tych stronach. Liczy zaledwie rok, tyle co nasz kolektyw. Statut spółdzielni produkcyjnej w Godzianowie powstał skromnie, podpisał go 28 lipca 1950 roku.

Ziemie mamy nienajlepszą. Z tego chociażby względu nie mogliśmy pójść na gospodarkę zbożową, ani nawet na intensywną uprawę roślin przemysłowych. W kolektywie przeważa zdecydowanie biedota, są także i bezrolni. Nie wnieśli bogatego wiana. Ziemi mamy mało, musimy się liczyć z każdym jej skrawkiem. Dlatego już na zebrań założycielskich postanowiliśmy nadać spółdzielni charakter hodowlany.

Jakże piękna jesień! Lekki wiatr pędzi babie lato ku domom indywidualnie gospodarujących chłopów, ku — jak my to nazywamy — „starej” wsi. Jeszcze przed rokiem stanowiliśmy jej część. Palimy papierosy. Koledzy namawiają mnie, abym napisał dzieje minionego roku. Sporządzałem notatki od początku — przyjaciół. Czas do roboty!

WRZESIEŃ 1950

Natkanąłem się któregoś dnia na Piotra — brygadiera grupy hodowlanej. Stoi na łące ponury i najwidoczniej poddenerwowany. Na nasze małe spółdzielcze stadko ani spojrzeć. Obok popłakuje żona. Co się stało? Piotr rzuca kijem o ziemię i krzyczy:

— Niech piorun trzaśnie taką hodowlę! Pies z kulawą nogą o nią się nie zatroszczy, a w statucie napisane, że trzon naszej produkcji, to hodowla. W Wilkowicach jest krowia buchalteria, wylizają, sprawdzają każdy litr mleka, brygadziści ustalają normy na żywienie, a u nas zrobili z tych nieszczęśliwych krowin piątą koło u wozu a za mnie pastuch jak za dziesięciu. Jestem brygadierem, czy świniarzem?

PAŹDZIERNIK 1950

Gwałtowne wystąpienie Piotra zmusiło nas do przemyślenia wielu niedociągnięć w organizacji pracy. Mamy zasadniczo cztery brygady robotnicze: hodowlaną, polową, ogrodową i budowlaną oraz czterech brygadistów. Ale naprawę kolektywu nasz wciąż jeszcze wygląda na tradycyjny zespół rodziny, a przewodniczącą na tatę, któremu żona nadmiernie obrodziła.

Wychodzi nasz tata co rano przed zgrupowaniem ludzi i powiada: Józku, teraz pójdziesz do buraków, potem na budowę obory, pokopiesz studnię, a co dalej to się mnie zapytasz. Bolek — do pomidorów, potem z Piotrem do krów, reszta później. Jak se pomyśli. Siedzi więc człowiek nosem w późnych pomidorach, kopie studnię, nosi cegły, dogląda maszyn i stale się pyta — co dalej. Cała ta praktyka toczy się z dnia na dzień, ponad zleceniami statutu, brygadystami i jakimkolwiek planem.

Pierwsze miesiące były ciężkie. I to nie tylko z powodu braku planu i nieprzeprzeżania podziału pracy. Lenin mówił: że najtrudniej jest walczyć z tym, co się w człowieku od lat zasiedzi, od dzieciństwa zakorzeni.

LISTOPAD 1950

Już w pierwszych miesiącach odczuliśmy na własnej skórze siłę starych nawyków i przyzwyczajeń. Kiedyś sięgnie Piotr po książkę o racjonalnej hodowli krów,

kiedy dopracuje się skutecznych metod podniesienia dojności krów, kiedy wykorzysta doświadczenia radzieckich i naszych kolektywów? Prawdę mówiąc, jesteśmy na razie grupą kłopotliwych, uniwersalnych majsterków, każdy się trochę na wszystkim zna, na tym, co dotyczy tradycyjnego, drobnotowarowego rolnictwa, nie chwytamy jednak istoty socjalistycznej gospodarki, nie umiemy jeszcze gospodarzyć po nowemu, stale brak nam jasno wyznaczonych działów produkcji, w których wyrobilibyśmy się na określonych specjalistów.

Budujemy właśnie pierwsze domy, wygodne, widne domy dla trzech spółdzielców. Co za kapitalna okazja do agitacji, zadokumentowania naszych możliwości inwestycyjnych, naszej troski o człowieka! Niech rosną nasze piękne domki, niech je ludzie porównują z krzywą chałupą drobnorolnego, stojącą za plebania. Co, kiedy rosną bardzo powoli. Zawodzi nasza wzajemna pomoc. Stanisławowi spółdzielcy pomagają, bo go lubią, a do Jana nikt z pomocą nie spieszy, więc samotnie i z trudem kładzie fundamenty pod swój przyszły dom. I tak to się z nami wlecze smutna tradycja pomocy sąsiedzkiej „po uważaniu”.



Spółdzielcza plantacja pomidorów w Godzianowie

GRUDZIEŃ 1950 — STYCZEŃ 1951

Przegapiiliśmy w poważnym stopniu sprawę poszerzenia kolektywu. Szkoda tym większa, że w końcu jesieni propaganda wroga znaczenie osłabia. Popsepy kulakie o dzwonku, który miał nas podrywać do pracy straciły wiarę. W Godzianowie dzwoni tylko kościelny. Obiecywano nam głód, lecz i to zawiodło. Nie ma także wspólnego kotła. A co innego, że kobiety marzą o stółcówce, bo chcą uniknąć codziennego kręcenia się przy kuchni w południowej porze zasłużonego odpoczynku.

Na wsi wyczuwało się wprawdzie rezerwy w stosunku do nas — spółdzielców, ale równocześnie z daleko większą rezerwą odnosili się ludzie do kulackich plotek. Powiniliśmy byli rozpocząć energiczną agitację, nim wróg zdobędzie się na nowe chwytły w walce z nami. No i pospaliśmy się pod tym względem niczym suszy, aż po okresie pozornej ciszy poszła po okolicznych wsiach pogłoska, że rząd będzie z wiosną rozwiązywał te spółdzielnie, które niedaleko zaszyły w socjalizm.

Straciliśmy kilku średniaków, skłaniających się ku spółdzielni. Za nimi mogli pójść inni...

MARZEC 1951

Jesteśmy w „modzie” na terenie całego województwa łódzkiego a nawet i dalej. Piszą o nas tygodniki, piszą dzienniki. Stale ktoś nas odwiedza: wycieczki szkolne, dziennikarze, literaci. Od kilku dni gościimy ekipę filmu Polskiego, która kręci film o walce z analfabetyzmem. Zapowiedziała przyjazd grupa muzyków z Polskiego Radia. Ci chcą tu nagrać książeczki piosenki. Dramatopisarka wiejska Zo-

fia Solarzowa pisze sztukę o naszej spółdzielni.

Korzyści odnosimy z tego zainteresowania dosyć duże. Filmowcy przyspieszyli elektryfikację Godzianowa i wyreperowali zęby Katarzynie Mozdzie, grającej główną rolę w filmie o analfabetach. Działaczka kiedy spotkała chłopca, który by nie czytał „Głosu Robotniczego”, „Wsi”, która zapoczątkowała nową tradycję czytelnictwa pism społeczno-literackich na naszym terenie.

KWIECIEŃ 1951

Grupa agitatorów — ZMP-owców z liceum wyruszają w teren. Na Zapady, Białynin, Drzewce, Przybysze, Lipce, Słupię poszli najlepsi młodzieńcy — Królikowski, Wojdakówna, Dziąg, Matatówna, Mozdzanka, Mikołajczyk i inni. Nasi najwierniejsi sojusznicy.

Zupełnie niespodziewanie — pokrzyły się kwieciami niektóre drzewka naszego młodego sadu. Szczegół tylko pozornie bez znaczenia. Te kilkaset drzew przyniesie obfity plon w najbliższych latach.

Oto grupa ogrodnicza przy plantacji pomidorów. Przystaje nad nimi, wielu chłopów, przyglądają się.

plantacja buraka cukrowego. Zarysował się już wyraźnie dalekowszeczny plan i podział pracy. A jeszcze ubiegłej jesieni?

Wróg nie śpi. Oto słychać po wsi: łąka im wyschnie, padną krowy, zmarnieją pomidory i zboże na pniu, chwasty zjedzą buraczane pole. Ano zobaczymy. Na razie cały kolektyw, liczący niewiele więcej niż dwadzieścia osób, pracuje bez wytchnienia od rana do nocy.

CZERWIEC 1951

Nasz plan jest prosty. W okresie żniw zorganizujemy pomoc sąsiedzką. SOM w Godzianowie nie dysponuje traktorem, ani wielkimi maszynami. Traktor i snopowiązałka obsłużą nie tylko nasze pola, lecz również i średniaki. Będzie to niespodzianka, jaką szukujemy kulakom, którzy rozpowiadają, że nie damy sobie rady. Oficjalnie umawiamy się tylko z jednym właścicielem średniorolnego gospodarstwa.

LIPIEC 1951

Wielkie prace i napięcia dni. Zboże obrodziło dobrze. Mieszkowa, średniorolna wdowa wzruszona była do łez zapowiedzianą pomocą przy żniwach. Traktor jednak nie nadziedził z winy POM-u w Dębowej Górze. Nie dopilnowano remontów. Pracowaliśmy przy pomocy konnej żniwiarki, narażeni na drwinę ze strony dużej części wsi. W tych trudnych dniach, kiedy, niespodziewanie zawiodły maszyny, ujawniła się szczególnie silnie spójność i samopomoc kolektywu, ujawnił się najcenniejszy kapitał — człowiek. Skończyliśmy żniwa pierwsi w całej okolicy. Nim stroskana Mieszkowa, pominęta naszkota umowy z nami w planie pomocy SOM-u, zdołała się zastanowić, czy pójść do kulaka czy nie — już nasza brygada z kosami przewiezionymi przez ramię przystąpiła na jej pola. Powrót brygady przypominał trochę marsz triumfalny. Towarzyszyła nam Mieszkowa. Ta do spółdzielni na pewno przystąpi. Gdybyśmy jednak mieli traktor!

SIERPIEŃ 1951

Od kilku dni zajeżdżają do nas ciężarówki Centrali Ogrodniczej ze Skierkowiec. Na oczach wsi trwa załadowywanie skrzynek z pomidorami i ogórkami. Na oczach wsi odbieramy pieniądze. Upubliczniamy nasze transakcje handlowe zupełnie świadomie. Nasz materialny dorobek, obok moralnego, niejako zwycięstwa w okresie żniw, stanowi najświeższy argument za wyższością spółdzielczej gospodarki.

WRZESIEŃ 1951

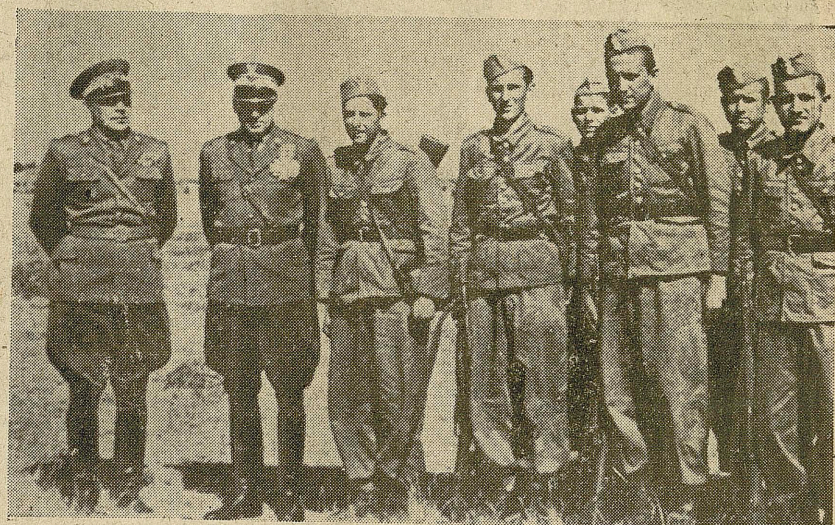
Kończymy budowę obory. Pozostało jeszcze tylko ułożyć dachówki. Za kilka dni wprowadzi się tu Piotr ze znacznie powiększonym stadem bydła i trzody. Minał rok, jak biecem trzaś. Brygadziści już wyszkoleni. Idziemy wyraźnie na hodowlę i warzywnictwo. Prowizoryczne obliczenia pozwalają przypuszczać, że odtąd obrachunkowa zbliży się do 30 złotych. Dokonywaliśmy tych rachunków publicznie, kto chciał, to się przysłuchiwał. Oj, przysłuchiwali się, przysłuchiwali zwłaszcza biedniacy, którym te 30 złotych dziennie i to przez okrągły rok dobrze rozjaśniły w głowach.

Ale żaden z nas o braniu zaliczki pieniężnej nie myśli. Mamy jeszcze zapasy z ubiegłego roku, więc wytrzymamy. Na razie inwestujemy każdą złotówkę.

A po jesiennych pracach rozpoczniemy serię wspólnych posiedzeń z indywidualnie gospodarującymi chłopami. Sami tego chcą. Pierwsza przemowa wdowa po Mieszce.

Józef Mozga

NA STRAŻY POKOJU



Marszałek Rokossowski z działaniem przodującym w strzelaniu.

Foto WAF

ZDRADA była między panami polskimi w naszym narodzie. Zarada kryła się wszędzie, a my nie wiedzieliśmy. Te słowa wiarusa armii Bonapartego, Zawłacza (ze sztuki „Sulkowski” Zeromskiego) powtarzały we wrześniu 1939 r. tysiące żołnierzy, rozproszonych, poganych na rzeź i haniebnie zdradzonych. Niechubym tradycjom stało się zadość. Nie po raz pierwszy dostrzegali żołnierze polski zakłamanie i pospolite oszustwo, za które interesy narodowe w imię interesów jednej klasy: wyzyskiwaczy.

Lata wojny niosły wyzwolenie, świadomość zdradziecznych, oszukiwanych w imię najświętszych hasel, stanowiących czynnik, utrwalający postawienie o przejmowaniu, w czasie w masach robotniczych. Zagłębia Dąbrowskiego nie wygasta pamięć o Gwardii Ludowej z 1918 r., jeszcze wielu pamiętało o walkach Wielkiej Rewolucji, których było uczestnikami, gdy padły decyzje wyznaczenia w pole. Jeden był wróg w kraju i jeden był w narodzie — burżuazja. Kłęska wrześniowa nadzarpnęła jej znaczenie w społeczeństwie, nie wydarła jednak broni i środków finansowych. W sytuacji burżuazji Anglii, Londynie, powoli narastał spisek przeciw narodowi, przewodził mu ci, którzy nie raz zdradzili. Jeszcze nie spłynęły w archiwach legitymacje agentów austriackiej H. K. Stelle, czy niemieckiego Wehrmachtu z podpisem gen. gub. Besselera, jeszcze wielu polityków wspominało z rozrzewnieniem o kłamstwach z Hitlerem, gdy padły decyzje rozpraw z krajem walczącym o wolność Polski — Związkiem Radzieckim. Prowokacje i plugawie insynuacje, wydawanie w ręce wroga przeciwników politycznych lub własnych przywódców, niepostępowanie ośrodków dyspozycyjnym, metody szantażu i podstęp, cały ten arsenał nieporzuconych metod, od lat ulepsanych przez żandarmów Brześci, Berez, i Wronek wcielono w czyn. Wielka provokacja polityczna, jaką było stworzenie Armii Krajowej, do której zgłosiło się wielu uczciwych Polaków, miała być atutem w rozgrywkach wewnętrznych; „zdrada kryła się wszędzie”, pozornie rzucane hasła walki z okupantem były tylko pokrywką, mającą na celu zdobycie tysięcy nieświadomych żołnierzy, „apolityczność” organizacji miała sugerować jej nadzór, ponadklasowy charakter. Burżuazja zdawała sobie sprawę, że nie ma już kredytu moralnego w społeczeństwie, lecz jej przywódcy nie rezygnowali z walki, choćby kosztem milionowych ofiar, zarówno w ludziach, jak i miastach. Spalono

Warszawę, jej kłęska stała się grobem burżuazji.

Tymczasem Armia Ludowa rosła w siłę: robotnicy i chłopcy, artyści i technicy, dawni więźniowie katorni sanacyjnych i więźniowie katorni hitlerowskich, żołnierze armii wrześniowej i byli uczestnicy walk w Hiszpanii wypełnili jej szeregi. Narodziła się armia narodu we francuskich oddziałach Ruchu Oporu, krzepła w siłę na Ziemi Radzieckiej, rozrastając się w kompanie, bataliony, pułki, dywizje; w lasach parczewskich czy woszczewskich przyswajala godność synowi narodu podbitego.

Jeden był wróg w kraju i jeden w narodzie — burżuazja. Związeki narsz nie kończył się na Zdobyciu Berlina, gdy na Bramie Brandenburskiej, obok czerwonych sztandarów zawisła flaga o barwach biało-czerwonych. Ci, co strzelali z oddaniem na bój z hiteryzmem, ci, którzy nie zapomnieli o Borowie i męce Gwardzistów, gdyż byli jej sprawcami — pozostali wierni sobie. Chcieli też „wspaniałą, młotą i rewolucyjną armię opanować, użyć do swych mierzonych celów. Tradycje zarady były przeciw ich tradycjom. Postawieni pod znak wojskowy ukazali całą swą nicość, „oficerowie” bez żołnierzy, dowódcy bez pułków. Tatar, Mossor i inni jeszcze raz potwierdzili, że umiemy tylko kłamać i pliszcząć się. Nie rozumiejąc siły naszego wojska, sądzili, że jest to bezduszna, na modę przedwojenną machina, w której panem był kapral, a jego mowcą dawcą obszarnek i fabrykant. Rewolucyjna armia, wyrosła z wielkich tradycji walk wyzwoleniczych, niosąca godnie na swych sztandarach imiona Kościuszki, Kilińskiego, Traugutta, Jarosława Dąbrowskiego, Waryńskiego, Świerczewskiego, bezimiennych bohaterów proletariatu, których życie było życiem dla Polski Ludowej, armia wyrosła z tradycji bojowego i ideowego współdziałania z najwspanialszym wojskiem świata — Czerwoną Armią, stała się nie tylko siłą, ale i młodością narodu. Gdy patrzymy na jej żołnierzy, wiemy, że pod zieloną bluzą bije serce górnika, urkniarza czy chłopca, kształtującego lepszą przyszłość, armia robotników i chłopów. Nie skłzi jej zdrada, bo służy narodowi, nie splami jej honoru — agresja, bo stoi ona na straży pokoju. W imię pokoju powstała i dla jego obrony istniejąca — duma i miłość nasza — armia ludu pracującego! Jej krok jest naszym krokiem, jej standard — naszym, jej przywódca — naszymi przywódcami, chłopów i robotników.

Armia Ludowa, Wojsko Polskie niech żyje!



Żołnierze I Dywizji na postawie wyjściowej do szturm pod Lenino.

Foto WAF

„Istnienie milujących pokój demokratycznych Niemiec obok istnienia milującego pokój Związku Radzieckiego wyklucza możliwość nowych wojen w Europie”.

STALIN



Wilhelm Pieck — Prezydent Niemieckiej Republiki Demokratycznej, której rocznica utworzenia, mia 7 października.

BERTOLD BRECHT

TŻAGANAK BERSIJEW

(Fragment poematu)

Stalin mówił do uczniów Mieczurina o prosie
I nazwał proso zdzieciłym dzieckiem.
O suchych wiatrach mówił i nawoził
Wielki żniwiarz narodów radzieckich.

Nie proso było oskarżonym, gdy przesłuchiwało
Kapryśną córkę stepów. W dalekiej Moskwie
W Instytucie Łysenki, powiedziało,
Co mu pomaga, a co szkodzi we wzroście.

I ruszyły drużyny agronomów
Na teren południowej i wschodniej produkcyjnej bitwy,
By o proso pouczyć kołchozowych chłopów,
O tym, kiedy lepiej obradza i kwitnie.

Ze najlepsza dlań jest gleba przegrzana
Do piętnastu stopni na głębokość dłoni,
Ze nie pragnie być siana według kalendarza,
Lecz wtedy, gdy gleba ma piętnaście stopni.

„Pomóżcie cierpliwej!
Pomóżcie skromnej!
Pomóżcie dobrej,
Zdrowej zwycięzcy!”

Jak siał należy: w szerokich rzędach,
Gdyż proso niechętnie gestę rośnie.
Żniwa w trójnasób obfite będą,
Gdy światła będzie więcej trzykrotnie.
Poskromcie niecierpliwość!
Dajcie, a odda wam!
Gdy samo sobie pomoże,
Chętniej wam przyjdzie z pomocą.

Tak dotarli do Kazakstanu, kraju nomadów,
Akademii odeszły i pisma.
Do współzawodnictwa skrzyknęły się brygady,
Uprawiać proso, jak nigdy dotychczas.

Na polach aulu, w warsztatach i szkołach,
Wszczął się w ten wielki, wiosenny poranek ruch.
Bersijew zwołał kierowników uprawy prosa
Z kołchozów „Nowa Droga” i „Róża Luksemburg”.

„Ruszać się w pole!
Krótki jest dzień.
Żniwo wykaże,
Kto dobry towarzyszy!”

Aby go we współzawodnictwie pokonali,
Rzucił im stary wezwanie
I, jak zawodów nowe brzmiały zasady,
Obdarzył ich swym najlepszym siewnym ziarnem.

„Ruszać się w pole!
Krótki jest dzień.
Żniwo wykaże,
Kto dobry towarzyszy!”

A gdy z pola traktory i ludzie wrócili,
W kołchozie „Kurman” radośnie zmęczona gromada
Przyniosła wagę i odważniki — i zważyli:
Dwadzieścia pięć kwintali z hektara.

Dziesięciokrotny plon lat ubiegłych!
Całą zimę, przy ogniu, chwalono w aulu.
Bersijewa gatunek prosa niedościgły.
Lecz stary rozmyślał o nowym gatunku.

O sny! Złociste „jeśli”!
Spójrz, jak zbiory kłosów potop jasny!
Siewco, nazwij
Twoje dzieło jutrzejsze już dzisiaj swym
własnym!

Zima przeszła w wiosnę. Traktory i ludzie ruszyli
Na nowe współzawodnictwo i wzrosła miara.
Jedno ziarno przyniosło siedemset. Gdy zważyli,
Było osiemdziesiąt siedem kwintali z hektara.

Gdy władza radziecka dała mu Order Lenina,
Tżaganak Bersijew pojechał do Moskwy.
I zasiadł przyjaźnie przed uczniami Mieczurina
Byli koczownik w Akademii Umiejętności.

Pytali go o wiele; i rzekł w odpowiedzi,
Głaszcząc się dłonią po brodzie:
„Przyjdźcie do mego aulu — niech mówią sąsiedzi,
Lepsi już ode mnie są moi uczniowie!”

Tłum. WITOLD WIRPSZA.

K. R. ZAWADZKI

Ludy świata powiedzą imperialistom: NIE!

Metody oraz „technika” agresywnej strategii imperializmu mają dające się od dawna (gdyż na przestrzeni bodaj całej pierwszej połowy XX wieku) zaobserwować wspólne cechy, kierunki i kontury. Nie jest zatem rzeczą przypadkową, że również imperializm USA w przygotowaniach do III wojny światowej usiłuje oprzeć się na tych samych siłach i obszarach dla przeprowadzenia koncentracji strategicznej, usiłuje rozbudować te same „arsenały” wojenno-gospodarcze, które tak niedawno w II wojnie światowej odegrały ponurą rolę. Są to: w Europie Niemcy Zachodnie, na Dalekim Wschodzie zaś — Japonia.

Jaskrawym wyrazem tych zbrodniczych knołów, machinacji dyplomatycznych są konferencje w San Francisco, Waszyngtonie, Ottawie. Konferencja w San Francisco (przeprowadzona w początku września br. przy akompaniamencie zrzuconych przez ciężkie bombowce amerykańskie bomb na neutralną strefę Kaesongu), zakończona została pod dyktando sekretarza stanu USA Achesona podpisaniem separatystycznego „traktatu pokojowego” z Japonią. Była ona zaledwie jednym z pierwszych aktów na drodze urzeczywistnienia już dziś agresji. Podpisany natomiast w San Francisco (również we wrześniu) między rządem USA, a rządem Japonii odrębny tzw. „Pakt Bezpieczeństwa” ma bardziej konkretne cele. Jest to typowy agresywny sojusz wojenny, zawarty między imperialistami amerykańskimi a japońskimi rewanżystami. W razie realizacji postanowień tego „paktu” Japonia stanie się głównym ośrodkiem agresji na Dalekim Wschodzie, satelitą dostarczającym monopolistom Wall Streetu mięso armatnie oraz służącym jako posłuszne narzędzie agresji USA w basenie Pacyfiku.

Analogiczną linię polityczną imperializm USA usiłuje przeprowadzić w Europie. Zakończono bowiem w Waszyngtonie (również we wrześniu) obrady trzech ministrów spraw zagranicznych: USA — Acheson, Wielkiej Brytanii — Morrison i Francji — Schuman — są jeszcze jednym jaskrawym dowodem, że w Europie bazą agresji imperializmu amerykańskiego oraz jego siłą uderzeniową mają być niedobitki militarystów i faszystów Niemiec Zachodnich.

Z opublikowanych dokumentów oficjalnych wynika bowiem, że Niemcy Zachodnie zostaną nie tylko wciągnięte do agresywnego Paktu Atlantyckiego, lecz w oparciu o „plan Schumana” i „plan Plevy” stanowiąc będą tegoż Paktu główną bazą wojenną i gospodarczą. Dzisiaj jest publiczną tajemnicą, że tzw. „plan Schumana” ma oddać we władanie monopolistom amerykańsko-niemieckim wszystkie zasoby gospodarcze i cały przemysł Europy Zachodniej. Tzw. „plan Plevy” przewiduje zaś sformowanie zachodnio-niemieckich sił zbrojnych, wchodzących z kolei w skład „ponadnarodowych zachodnio-europejskich” sił zbrojnych, do których członkami będzie umundurowany agent Wall Streetu — generał USA Dwight Eisenhower.

Reasumując: utworzony na bazie Zagłębia Ruhry superkartel węglowy-stalowy zawiadanie całą gospodarką Francji, Włoch, Belgii, Holandii i Luksemburga. Będzie to potencjał wojenno-gospodarczy sił zbrojnych Niemiec Zachodnich oraz sił zbrojnych USA (European USA Forces), dyslokowanych w Europie. Siła i zasoby tego potencjału byłyby znacznie większe od tych, jakimi faszysty Hitlera i Mussoliniego dysponowali w przededniu II wojny światowej.

I wreszcie trzecia wrześniowa sesja: Rady Paktu Północno-Atlantyckiego w Ottawie (Kanada), w której wzięli udział ministrowie spraw zagranicznych, finansów oraz wojny 12 rządów — sygnatariuszy powyższego paktu, przeprowadzona została na bazie postanowień, przyjętych poprzednio w San Francisco i Waszyngtonie. Przedstawiciele rządu USA po prostu polecieli swym „atlantyckim sojusznikom” „przyjechać do wiadomości (bez dyskusji) i natychmiastowej aprobaty wszystkich decyzji, powziętych przez „wielką trójkę” (tzn. narzuconych przez Achesona panom: Morrissonowi i Schumanowi).

Postanowienia te dotyczyły: sformowania tzw. „europejskich sił zbrojnych” w oparciu o trzon tj. siły zbrojne Niemiec Zachodnich; rewizji traktatu pokojowego z Wiochami (1947), celem zlikwidowania postanowień ograniczających liczebność włoskich sił zbrojnych; włączenia do Bloku Atlantyckiego Grecji i Turcji; a wreszcie rozstrzygnięcia (nierozstrzyganego) problemu w sprawie rozdziału ciężarów finansowych, związanych z wysiłkiem zbrojnym.

Rzut oka na genezę straszliwych kataklizmów, jakimi były I i II

wojna światowa, potwierdzi z jednej strony niebezpieczeństwo — jakie obecnie wskutek ludobójczej polityki rządu USA zawisło ponownie nad ludzkością. Przypomnienie zaś metod i zorientowanie się w sposobach działania imperializmu USA, który po II wojnie światowej podjął zdeptaną zagłębłą agresję, umożliwia z drugiej strony wzmocnienie jeszcze bardziej skutecznej walki o pokój. Imperializm USA jest bowiem dzisiaj najbardziej agresywnym, drapieżnym i niebezpiecznym, stosującym z całą perfidią i gangsterską bezwzględnością politykę ludobójstwa i strategię totalnej grabieży.

Już pierwsze kroki imperializmu amerykańskiego na arenie międzynarodowej cechowała agresja lub co najmniej nawoływanie do agresji.

I tak w roku 1797 sekretarz skarbu USA A. Hamilton oświadczył publicznie: że „USA podporządkowały sobie Środkową i Południową Amerykę, stanowiąc będąc siłą „panamerykańską”, dyktującą swą wolę zarówno Nowemu, jak i Staremu Światu”.

Zgodnie z tą zapowiedzią już w latach 1819—1853 siły zbrojne USA interweniowały niejednokrotnie w krajach Ameryki Łacińskiej. Inspiratorami tej agresywnej polityki byli monopolisci, poszukujący rynków zbytu i źródeł surowców. Jej organizatorami i realizatorami zaś — politycy, ministrowie i generałowie. W rezultacie w czasie jednej tylko agresywnej wojny przeciwko Republice Meksyku rząd USA zagrabił szereg prowincji me-

pożyczek, udzielanych za pośrednictwem banku „Brown Brothers and Company” (począwszy od 1931 roku jednym z jego właścicieli został osławiony podżegacz wojenny Harriman). Gdy w roku 1912 niebezpieczna ludność usiłowała sprzeciwić się przyjęciu tych pożyczek, siły zbrojne USA znów wtargnęły do Nikaragui. Pod wpływem „perswazji” amerykańskiej piechoty morskiej, która okupowała republikę, przeprowadzono „wybory na modłę amerykańską”; w wyniku czego na czele państwa stanął rząd posłuszny Stanom Zjednoczonym.

Po I wojnie światowej kłosa finansowe Wall Streetu nie zeszły ze zbrodniczej drogi agresji, wspomagając politycznie, a co ważniejsze finansując niedobitki militarystów, junkrów i monopolistów niemieckich. W roku 1922 jeden z wyższych oficerów USA, przebywający służbowo w Niemczech, pisał:

„Europa Zachodnia powinna zgodzić się na ekspansję niemiecką na Wschód, gdyż tylko w ten sposób można spowodować konflikt zbrojny z Rosją, co przeciętnie osłabi znacznie napór niemiecki na Zachód”.

Powyższa wypowiedź ujawniła zaledwie cząstkę tych knołów i systematycznych prowokacji politycznych, które kłosa rządzące w USA stosowały po pierwszej wojnie światowej. Celem tej systematycznej i planowej urzeczywistnienia polityki podżegania do wojny

Nie będąc w stanie przedstawić się na produkcję pokojową finansów amerykańską zadziła o swoje wojenne superzyski, dostrzegła możliwość upadku, załamania całego gałęzi przemysłu wojennego, (którego inwestycje pochłonęły wiele miliardów dolarów), zaobserwowała oznaki spadającego popytu i obniżającej się konsumpcji, przestraszyła się widma nieuchronnego wielomilionowego bezrobocia. Na przełomie lat 1946/1947 groźba kryzysu zawiła bowiem nad gospodarką USA.

Dla imperializmu USA istniało jednak tylko jedno wyjście: kontynuowanie produkcji wojennej; jeszcze większe wzmocnienie tempa wysiłku zbrojnego; dalsza prowokowanie konfliktów zbrojnych i wreszcie przygotowanie i rozpętanie nowej III wojny światowej.

Prezydent USA Harry Truman osobliście, w jak najbardziej wyraźnej formie sformułował w 1948 roku takie właśnie wytyczne powojennej polityki USA, mówiąc:

„Jeśliby międzynarodowe napięcie zostało rozładowane, to kraj nasz zostałby wystawiony na ciężką próbę: czy przemysł i banki nasze potrafiłyby przystosować szybko ceny i koszty produkcyjne, aby uchronić przed załamaniem naszą produkcję i stan zatrudnienia”.

A więc prowokowanie międzynarodowego napięcia — stało się jedynym celem dla nienasyconych, żądnych zysków monopolów amerykańskich. Dlatego też polityka powojenna rządu USA została ściśle uzgodniona z wytycznymi otrzymanymi od władz Wall Streetu.

Dla całkowitego zaś zabezpieczenia swych interesów monopolistów USA doprowadzili do ścisłego powiązania personalnego między aparatem rządowym, a amerykańską oligarchią finansową. Dyrektorzy wielkich banków i trustów przemysłowych „zostali oddani do dyspozycji państwa”, bądź jako sekretarze stanu, bądź jako doradcy polityczni i finansowi, lub też przewodniczący komisji gospodarczych, politycznych itd., itp. I odwrotnie. Najbardziej reakcyjni generałowie zostali mianowani dyrektorem wielkich banków, członkami rad nadzorczych, trustów przemysłowych, linii lotniczych, towarzystw żeglugi morskiej itd.

Oto jeden z wielu przykładów tych międzynarodowych powiązań państwowo — monopolistycznego kapitału USA.

Potężny bank amerykański Dillon, Read and Co w latach 1923 — 1939 służył jako główny pośrednik i kanał w przekazywaniu kredytów bankom hitlerowskich Niemiec. Prezesem tego banku, ściśle związanego z niemieckim koncernem śmiertel I. G. Farben, był osławiony samobójca James Forrestal, sekretarz wojny USA w latach 1947 — 1949. Wiceprezes banku Dillon, Read and Co — William Draper, generał „czasu wojennego”, był początkowo kierownikiem Oddziału gospodarczego zarządu wojskowego USA w Niemczech, a później wice-sekretarzem wojny USA. To właśnie William Draper stoperdował plany dekartelizacji ciężkiego przemysłu w krajach Zachodnich. To właśnie on (już w Waszyngtonie) inspirował i kierował prowokacją generała Clay’a (również wielkiego przemysłowca) w zatargu berlińskim...

Logiczną konsekwencją tych zbrodniczych, zmierzających do rozpętania III wojny światowej, poczyną są wspomniane na wstępie posunięcia polityczne rządu USA, obserwowane na przestrzeni ostatnich miesięcy i lat. Zrozumiałe więc jest, dlaczego kłosa rządzące w USA nie tylko nie dają od demokratyzacji Japonii lub zjednoczenia Niemiec, lecz odwrotnie, usiłują za wszelką cenę uczynić z nich bazy wypadowe planowanej przeciwko ZSRR agresji. Poszczególne etapy tej zbrodniczej polityki rządu USA są nader łatwe do rozszyfrowania. Są to: osławiona doktryna Trumana, plan Marshalla, sprawa Berlińska (i most powietrzny), 4 punkt Trumana, agresja w Korei, separatystyczny pokój i pakt z rządem Józidy w Japonii, a wreszcie ostatnio wspomniane już konferencje w Waszyngtonie i Ottawie.

Tak pieczołowicie wypracowana strategia agresji posiada jednak zasadniczy brak. Nie uwzględnia woli ludów świata.

A ludy świata mówią imperialistom: NIE!

K. R. Zawadzki

1) Albert Norden. So werden Kriege gemacht. Über Hintergründe und Technik der Aggression. Dietz Verlag Berlin 1950, str. 48.

2) Ibidem str. 49



Postępowe masy narodu niemieckiego w walce o Pokój i Jedność Niemiec

ksykańskich, jak: Florida, Texas, Oregon Kalifornia i inne.

Również i druga połowa XIX wieku zapisana została w historii imperializmu amerykańskiego nie mniej krwawym pasmem interwencji zbrojnych oraz wojen, prowadzonych przeciwko republikom Ameryki Łacińskiej: Wenezueli, Nikaragui, Santo Domingo, Kuby, Dominice i Kolumbii. W roku 1898 ten długi okres krwawych podbojów, grabieży i wyniszczania słabszych, sąsiadujących z USA narodów zakończony został agresywną wojną przeciwko Hiszpanii, przypiętowaną przez aneksję wysp Filipińskich, Puerto-Ricco, Guam i innych.

W tym właśnie okresie „teoretyk” wczesnego imperializmu USA senator Beveridge pisał:

„Bóg tak stworzył Amerykanów, aby mogli ujarzmić dżiki i słabsze narody... Handel światowy zostanie opanowany przez USA. Powinniśmy więc rozbudować na całym świecie bazy wojenne zabezpieczające nasz handel, strzegące nasz standard, rozpowszechniające nasz styl życia. Amerykańskie obyczaje, amerykańska cywilizacja, amerykański ustroj muszą zapanować na całym świecie”.

Realizując te „wnioski” hasła Departament Stanu i Ministerstwo Wojny USA nie cofały się przed żadnym oszustwem lub przekupstwem oraz akcją terrorystyczną dla urzeczywistnienia swych zbrodniczych zamierzeń.

Oto jeden z wielu przykładów:

W roku 1909 rząd republiki Nikaragua ośmielił sprzeciwić się i nie oddał do dyspozycji USA żądanych portów. Wówczas agenci Wall Streetu, przy pomocy kilku zdrajców — przekupionych „rewolucjonistów”, spowodowali bunt. Gdy bunt został zdławiony, Stany Zjednoczone, wykorzystując jako pretekst egzekucję dwóch bandytów, którzy planowali wysadzenie w powietrze okrętu nikaraguańskiego, wysłały swe wojska do Nikaragui i oddały władzę „rewolucjonistom”.

Następnym etapem było narzucenie temu krajowi lichwiarskich

mało być uczynienie z Niemiec głównej bazy agresji przeciwko ZSRR.

Powiązania hitlerowsko — niemieckie przetrwały próbę II wojny światowej. Amerykański trust naftowy Standard Oil i wszelkie inne koncerny niemieckie I.G. Farben dochowały sobie wzajemnej wierności, strzegąc przed własnymi rządami tajemnicy patentów i zagarniając ogromne zyski na dostawach wojennych dla obu walczących przeciwko sobie stron.

Jeden z głównych agentów wywiadu USA, rezydujący w czasie wojny w Szwajcarii — Allen Dulles (brat John Foster Dullesa) pertraktował w 1943 roku z przedstawicielem Hitlera księciem von Hohenloe w sprawie separatystycznego pokoju. Tego rodzaju rozmowy miały przede wszystkim miejsce kilkakrotnie już przed tym (np. w 1941 roku w Lizbonie — Portugalia).

Wszystkim tym poczynaniom przyswierał przeciw zawsze jeden i ten sam cel: chęć stworzenia wspólnoty frontu międzynarodowych sił i imperializmu przeciwko ZSRR.

Trusty amerykańskie wyszły z II wojny światowej z olbrzymimi zyskami, sięgającymi sumy 53 mld. dolarów. Ich udział w produkcji przemysłowej (kapitalistycznej części świata) wzrósł z 47 proc. (w roku 1938) do 60 proc. (w roku 1949). Monopolisci Wall Streetu uzyskali bezwzględna przewagę we wszystkich dziedzinach gospodarki nad krajami kapitalistycznego świata.

Lecz właśnie to niesłychane wzbogacenie, uzyskane kosztem milionów ofiar ludzkich, ta olbrzymia koncentracja przemysłu i centralizacja banków na skalę nieznana dotychczas w historii świata, zwiększyły niebezpieczeństwo katastrofy, przyspieszyły możliwość kryzysu gospodarczego. Rozdęta na krajowych i zagranicznych dostawach wojennych (osławiony Lend and Lease) machina ciężkiego przemysłu USA poczuła się zagrożona w swym istnieniu przez nagły „wybuch” pokoju.

DEREK KARTUN

NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Korespondencja własna „Wsi”

Niedawno pismo radzieckie „Nowe Czasy” słusznie oceniło sytuację na Środkowym Wschodzie przed zabójstwem w dn. 1 III. br. premiera Iranu i agenta brytyjskiego gen. Razmazy jako względnie równowagę sił między rywalizującymi ze sobą interesami naftowymi Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Warto być może powiedzieć parę słów jak doszło do tej — co prawda bardzo wątpliwej — równowagi.

Znamienny jest fakt, że do 1933 roku znacząco amerykańskiemu towarzystwu naftowemu nie udało się wtargnąć na obszary naftowe Środkowego Wschodu, gdzie znajduje się 42 proc. światowych rezerw naftowych. Od początku naszego stulecia, kiedy Wielka Brytania rozpoczęła eksploatację pól naftowych na Środkowym Wschodzie, wychodziła ona zawsze zwycięsko z walki ze swym amerykańskim rywalem.

Jednakże w 1933 roku potężne amerykańskie towarzystwo naftowe „US Mellon” otworzyło filię w Kanadzie (kominiom brytyjskiej) która z kolei podpisała umowę z władcą wyspy Bahrein w Zatoce Perskiej o eksploatację bogatych rezerw naftowych tej wyspy. Podstęp ten był konieczny, ponieważ władca wyspy Bahrein na mocy układu z Wielką Brytanią nie miał prawa udzielać koncesji firmie niebrytyjskiej, a Kanada była przeciwna terytorium brytyjskim.

Taki był początek, po którym amerykański przemysł naftowy wszelkimi możliwymi sposobami torował sobie drogę do środkowo-wschodnich terenów naftowych. Największym sukcesem na tym polu było zdobycie wyłącznej koncesji w Arabii Saudyjskiej, gdzie eksploatacja wielkich pól naftowych idzie szybko naprzód pod zarządem Arabian - American Oil Company. (ARAMCO). Amerykanie ulokowali się również na brytyjskich terenach naftowych w Iraku, gdzie „Standard Oil” i „Socony Vacuum” mają w rękę 23 proc. wydobycia ropy naftowej. W Syrii, których tereny naftowe znajdowały się do roku 1940 pod kontrolą brytyjską, dominuje obecnie Syriani - American Oil Company. Tereny naftowe w Kuwajcie w Zatoce Perskiej, których eksploatacja rozwija się najszybciej na Środkowym Wschodzie, należą pół na pół do „Anglo - Iranian Oil Company” i do „US Gulf Oil Company”. Na innych, mniej ważnych terenach naftowych, zdołał Amerykanie w ostatnich latach zwiększyć w podobny sposób swój stan posiadania.

Ilustracją tego procesu służyć może fakt, że w obecnej chwili toczy się w Paryżu przed specjalnym trybunałem proces mający wielkie znaczenie. Pewne brytyjskie towarzystwo naftowe, popierane przez rząd brytyjski, wystąpiło przeciwko szeikowi Omanu, kwestionując jego prawo do udzielenia firmie amerykańskiej koncesji na eksploatację źródeł ropy, położonych na dnie morza przy wybrzeżu Omanu. Oman jest terenem pustynnym wzdłuż Zatoki Perskiej i znajduje się pod kontrolą Wielkiej Brytanii. Do nafty tej rości sobie prawo brytyjskie towarzystwo „Iraq Petroleum Company”. Amerykanie ofiarują jednakże lepsze warunki i stąd proces, typowy dla rywalizacji interesów naftowych na Środkowym Wschodzie.

Równie znamienna jest ostatnia wizyta w Londynie ministra spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej — kraju znajdującego się pod całkowitą kontrolą Stanów Zjednoczonych. Celem jego wizyty było załatwienie dwóch spraw: rewizja granic Omanu na korzyść Arabii Saudyjskiej i uzyskanie praw do szeregu małych wysepek i ławic położonych w Zatoce Perskiej przy wybrzeżu Arabii. Na wysepkach tych mają się jakoby znajdować źródła ropy. W istocie jednak minister spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej występował, jako rzecznik „Arabian - American Oil Company”, a jego wizyta była tylko fragmentem toczącej się na Środkowym Wschodzie walki o naftę.

Wysokość kapitału amerykańskiego inwestowanego na Środkowym Wschodzie jest olbrzymia i stale wzrasta. Rząd amerykański i firmy prywatne ulokowały na tych terenach od 1945 roku ponad miliard dolarów. Zainteresowane amerykańskie firmy naftowe reprezentują kapitały sięgające sumy 12 miliardów dolarów. Równolegle do infiltracji naftowej odbywa się ogólna infiltracja gospodarcza, a także polityczna i wojskowa.

Aby w pełni zrozumieć, jakie skutki mieć będzie w światowej walce o naftę wstrzymanie eksploatacji irańskich pól naftowych i rafinerii, należy dodać jeszcze kilka cyfr.

Państwa kapitalistyczne produkują rocznie nieco ponad 550 milionów ton ropy naftowej. Przeszło połowę tej ilości przypada na Stany Zjednoczone, które mimo to są wielkim importem ropy naftowej, ponieważ starają się magazynować swe własne rezerwy na cele wojenne. Importują więc z jedynie

dostępnych im innych wielkich terenów naftowych: z Wenezueli w Ameryce Południowej i ze Środkowego Wschodu. Zobaczymy jak wygląda roczna produkcja tych krajów:

Venezuela (pod kontrolą amerykańską)	70 milionów ton
Arabia Saudyjska (pod kontrolą amerykańską)	24 miliony ton
Iran (pod kontrolą brytyjską)	32 miliony ton
Kuwajit (wspólna kontrola anglo - amerykańska)	12 milionów ton
Irak (gł. pod kontr. bryt. część amerykańską)	6 milion. ton
Bahrein (pod kontrolą amerykańską)	2 miliony ton
Razem	146 milionów ton

Obecnie Wielka Brytania pozbawiona jest ropy irańskiej i musi szukać jej gdzie indziej. Jednakże, jak wynika z powyższego zestawienia znaleźć ją może tylko na takich terenach, gdzie wskutek kontroli amerykańskiej, płacić musi za nią dolarami. A więc utrata ropy irańskiej kosztowałaby Wielką Brytanię około 400 milionów dolarów rocznie, co nadwyrężyło by mocno brytyjskie rezerwy dolarowe. Ponadto Wielka Brytania musiałaby uznać za stracone swoje inwestycje w Iranie, które w ciągu ostatnich trzech lat przyniosły dochód w wysokości 142 milionów funtów szterlingów.

Spośród wspomnianych terenów naftowych najszybciej rozwijają się przedsiębiorstwa naftowe w Kuwajcie i w Arabii Saudyjskiej. Naftę z tych właśnie źródeł Amerykanie zamierzają zastąpić naftą irańską i należy zaznaczyć, że jeśli chodzi o świat imperialistyczny utrata ropy irańskiej nie jest ciosem śmiertelnym. Nie jest nim tak samo utrata olbrzymiej rafinerii w Abadanie. Jedno z amerykańskich przedsiębiorstw naftowych zakończyło niedawno budowę nowej rafinerii w Fawley, w Wielkiej Brytanii, i buduje nowe rafinerie w Austrii, Francji, Danii, Holandii i Australii.

Mocarstwa imperialistyczne zaniepokojone są wydarzeniami w Iranie głównie z innego powodu. Obawiają się, że za przykładem Iranu pójdą mogąc uciskane i coraz bardziej bojowe masy ludowe całego Środkowego Wschodu. Dotychczas Środkowy Wschód był rajem dla imperialistycznych eksploatatorów. O ile chodzi o naftę, wystarczy porównać koszty produkcji w krajach Środkowego Wschodu i w Wenezueli, w kraju również półkolonialnym i brutalnie eksploatowanym, o bardzo niskiej stopie życiowej ludności. A więc w roku 1947 koszty produkcji baryłki ropy naftowej w Wenezueli wynosiły 68 centów, natomiast na Środkowym Wschodzie tylko 24 centy. Przy czym w Wenezueli od każdej baryłki trzeba płać rządowi 86 centów w podatkach i innych opłatach, zaś na Środkowym Wschodzie tylko 15 do 35 centów (w zależności od kraju).

Cena wenezuelskiej ropy naftowej jest na rynku światowym taka sama, jak cena ropy środkowo-wschodniej. Tym samym więc Środkowy Wschód jest jednym z najbardziej rentownych terenów dla inwestycji, inaczej mówiąc dla najbardziej bezwzględnej w historii handlu eksploatacji. Dlatego też Amerykanie lokują tam swe kapitały i eksploatują nowe źródła, jak mogą najszybciej. Z tego samego też powodu prowadzą oni zażartą walkę o naftę z Wielką Brytanią.

Nie ulega wątpliwości, że Amerykanom na rękę jest porażka Wielkiej Brytanii w Iranie. Jednakże tylko do pewnego stopnia. Bowiem klęska imperializmu brytyjskiego, jest klęską dla całego systemu imperialistycznego, a na dłuższą metę zagraża ona również interesom amerykańskim. Amerykanie doskonale to rozumieją i dlatego pragnęliby, aby doszło do porozumienia między Wielką Brytanią i Iranem. Oczywiście chodzi im o porozumienie, które jednocześnie wzmocniłoby pozycję Stanów Zjednoczonych na Środkowym Wschodzie. Jednakże w tej chwili wszystko wskazuje na to, że główną ich troską jest zahamowanie masowego ruchu, na którego czele stoi bohaterska partia Tudeh i zachowanie Iranu jako terenu dla dalszej eksploatacji i jako ważnej bazy dla całego obozu imperialistycznego w jego przygotowaniach do wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Z tego wszystkiego wynika niezbicie, że w anglo - amerykańskiej polityce na Dalekim Wschodzie istnieje głęboka rozbieżność i że „sojusz” anglo - amerykański podważa coraz bardziej pogłębiając się tarcia. Tak samo prawdą jest, że akcja mas na Środkowym Wschodzie zwiększa te tarcia i utrudnia realizację planów wojennych obozu imperialistycznego. Tym samym bohaterskie narody Iranu i innych krajów walczą nie tylko o niezależność narodową i podniesienie swej stopy życiowej — walką swą zadają poważne ciosy całemu obozowi imperialistycznemu, przyczyniając się do obrony pokoju światowego.

Derek Kartun

AI-CZING.

W OBRONIE POKOJU

(Fragment poematu)

Dzisiaj obudziłem się o świcie,
Słyszałem odległe głosy ptaków,
Wstałem z łóżka i otworzyłem okno.
Ale nie zobaczyłem ptaków — widziałem tylko
Złocisty promień, który przebiegał się
Przez liście rozkwitających akacji,
Pochylające się przede mną jak lany
Kołysane lekkim powiewem wiatru.

I wtedy właśnie za kamiennym ogrodzeniem,
W domu, gdzie na świat przychodzą ludzie,
W domu jasnym, i wysokim
Rozległ się słaby płacz dziecka.
Słyszeliście? — To głos nowego życia
Przyszłego na ten wiosenny świat.

Rodził się poranek. W cichym zaułku
Pracował dozorca wymiatając śmiecie.
Uczniowie beztrudną gromadą
Z teczkami, torbami w rękach
Szli do pobliskiej szkoły.
Chłop. powoli kroczyli na targ
Popychając drewniane wózki
Wypełnione wiosenną zielenią —
Jeszcze rosa nie wyschła na niej.
Na telegraficznych słupach
Polyskiwały izolatory,
Niby białe jak śnieg,
Zawieszane pod lazurowym niebem
Kwiaty jaśminu.
Nieustannie gwizdki fabrycznych syren
Przekrzykiwały się radośnie,
A za odległą zielenią topól,
Gdzie wznosiły się komin fabryczne
Walił gęsty, czarny dym
Podobny do końskich grzyw.
Samochody pędziły ulicą
Jak niepowstrzymany górski potok.
I zdawało się, że ktoś uderzył
W klawisze niezliczonych fortepianów.
I dźwięki nie dające się z niczym porównać
Rosły jak burza i łączyły się
W potężną symfonię pracy.



II

Oto widzicie oswobodzone miasto,
Miasto, w którym nie ma już wrogów.
Nasze miasto, które cierpiało w niewoli,
Nasze miasto niegdyś hańbione.
Nasze miasto podobne do ciała
Człowieka niedawno poranionego,
Kłami i pazurami dzikich zwierząt
Dzisiaj leczy rany.
Klasa robotnicza daje nam życie
Bo przepelniona jest
gorącym uczuciem tworzenia,
To ona pracuje pod ziemią
Żeby znów działał wodociąg,
To ona nie znając odpoczynku
Dniem i nocą spaja tramwajowe szyny,
To ona pracuje na pustkowiu —
I tam na stosach kamiennych ruin,
Na stosach gruzów i zgłiszcz
Wyrastają przestronne domy.

I jeżeli wyjedziecie z mego miasta
To na obszarach nowych Chin,
We wszystkich niezliczonych wioskach
We wszystkich wyzwolonych miastach
Zobaczcie, jak setki tysięcy rąk
Pracuj, z uporem lecz spokojnie,
To pragnienie życia naszego narodu,
Owoce ciężkiej walki stuleci,
w której surowych bitwach zwyciężyliśmy
Zdobывая teraz upragniony świat.

Ale ten świat nie jest taki,
Jaki można wyprosić na klęczkach,
Nie taki, jakim nas obdarza Bóg z nieba,
Nie taki, w którym są wolne
Tylko gołębie w swoim locie.
Ten świat jest inny,
Został zdobyty w wiekowej walce
Wielkiego chińskiego narodu
Za ten świat przelaliśmy w bojach —
Mówię dosłownie — rzeki krwi,
Lecz osiągając upragnione zwycięstwo
Obroniliśmy miliony istnień.

I tylko nasz naród,
który taką cenę zapłacił za pokój
Zna pełną jego wartość —
Jak ci, co po niekończącej się nocy
Zmęczeni przerażającym kosmosem
Umieją ocenić nadejście świtu,
I złoty, spokojny promień jutrzeńki.

Tłum. ANDRZEJ JASIŃSKI

...wielka przyjaźń Chińskiej Rebubliki Ludowej i Związku Radzieckiego —
trwała gwarancja pokoju i bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie.

STALIN



W dniu 1 października naród Mao Tse-tunga obchodził święto narodowe
(rocznica proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej).

Foto CAE

JUAN TSJUN

DO KOREAŃSKICH BRACI

W armii Mao Tse-tunga narodowi służę —
Strzegąc granic. Noc ciemna gwiazdami dziś świeci.
Huczy wicher i fale w zatoce się burzą;
Uderzają gwałtownie, jak serce w mej piersi.

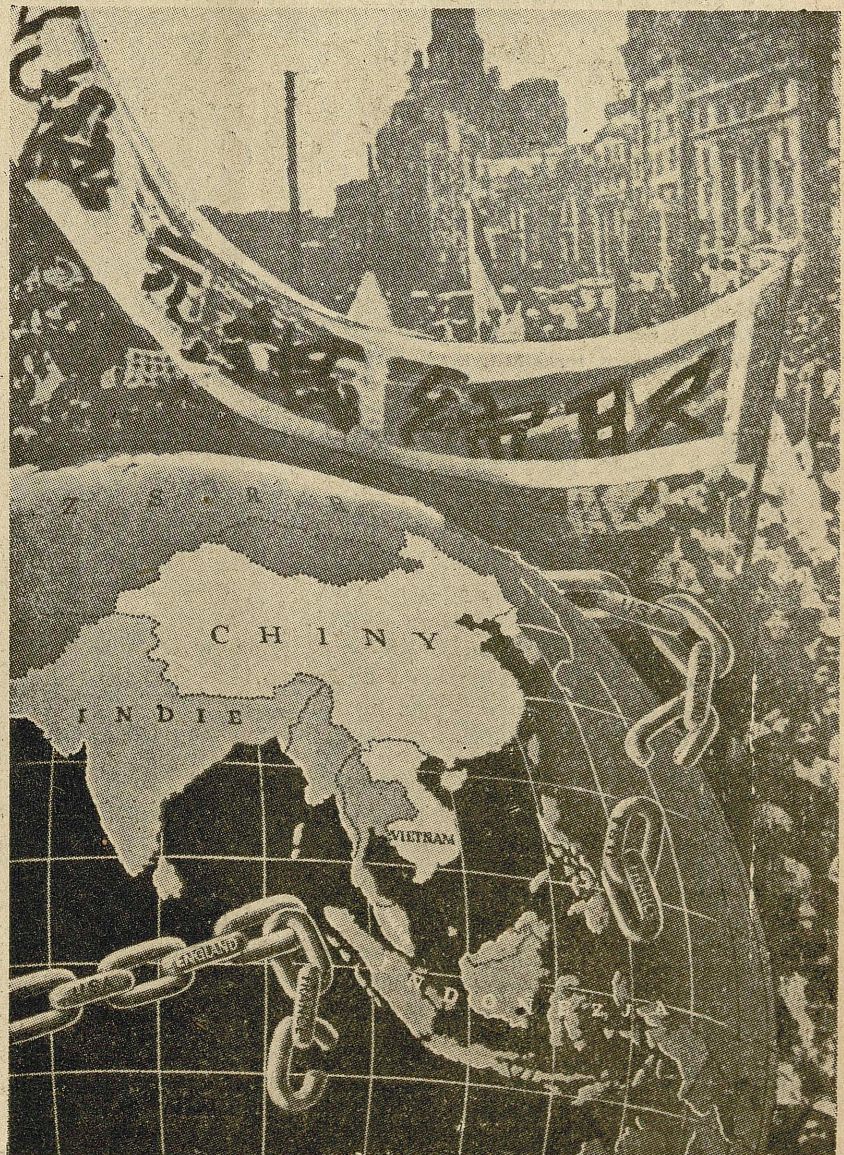
Widzę: gwiazdy nad ziemią Korei zabłysły —
Noc — lecz walkę o wolność jej podjął już naród.
W boju krwawi armia, by palce zacisnąć,
Zdławić wroga w śmiertelnym uścisku za gardło.

Widzę —
Jakby marsz pułków Kim Ir Sena dostrzegali —
Jak zwycięsko prowadzi przez kraj bohaterów,
I płonące bombowce Trumana — jak we mgłę,
Czołgi lisymanowskie, całą broń pancerną.

Pozdrawiamy was, wolnej Korei synowie!
My, żołnierze, jak bracia — łączymy się z wami.
Wszędzie jedna na świecie najeźdźcom odpowiedź!
Walcząc dzisiaj idziecie naszymi drogami.

W armii Mao Tse-tunga narodowi służę.
Strzegę granic przed wrogą napaścią, ruiną...
Huczy wicher i fale w zatoce się burzą.
W nich zwycięski marsz pułków swe skrzydła rozwinął.

Tłum. ZYGFRED SAWKO.



LESŁAW M. BARTELSKI

POWRÓT EURYDYKI?

„Zostanę ja i ogień i moja samotność”

K. Baczyński.

Nie spotkałem jej w chwili, kiedy wznosiła dłoń jak gwiazdę zamkniętą w oku, kiedy usta miała jak pleśń, zaciśnięte i male.

Nikt nie potrafił jej znaleźć, imiona drżały na wietrze, pył z wapna zasypał gardła i jak deszcz sypał w przestrzeń.

Nie spotkałem jej w chwili, kiedy szukano zmarłych. Myślałem, że piekło jest zapomnieniem, życie — poszukiwaniem barwy.

I oto, nie ma ciebie, Eurydyko, mała kochanko poety, który wplecioną w mirt, lirę strzaskał na murach wypalonego miasta.

Gdy się otwiera wizja skąpa na ostrzu powiek jak na liściach powstaje dom niesiony w górę jak luk rośliny nad ruiną.

Dziesięciu niesie son na mieczach, piętnastu klucze ciężkich więzień, miliony pragną demokracji, pokoju i sprawiedliwości.

Dekarz nad domem dach pokrywa, nam, przywróconym znów do życia, dach był dziurawy jest miedziany jak księżyc ponad obłokami.

Słowo poety jak gałązka, wskazuje odcień albo szczyty, rozpacz przemija, ból ustaje, ginie twój obraz, Eurydyko!

I ciebie znów hym przywrócił życiu, Eurydyko strzaskana pod murami, z których dziś robotnicy gruz odrzucają — zwietrzałe cegły, ciemny beton.

I ciebie hym odnalazł na nowo, Eurydyko, ale się strzeżmy powracać w przeszłość, chociaż trudno zapomnieć poetom snów przepalonych miłością.

Gwizd fabryk ponad ciszą, które uspokajają, rząd nowych domów, pełny ludzi, płynność ruchów koszar w miejskim parku — nie ciebie, Eurydyko, nie zbudzi, ani śmiech płynący z rusztowań, ani traktorów warkot na polach, z których pszenica i rzepak. Oto idziesz, żalobna i obca, pośród życia, które jest siłą, marzeń, które zmieniamy w życie odnalezione jak miłość.

Gwizd fabryk ponad ciszą mówi o rzeczach niepowrotnych, strzeż się szalonych, Eurydyko, wątpliwych i samotnych.

1943—1950

DOŚWIADCZENIE

Wyznawalem słowa i myśli proste, zdawało by się — wyniesione z życia, śmierć zacierała mi światła granice, płacz dzieci przywracał noc, matko, matko.

Myśli moje gnily jak uczucia, serce stygło krwią zaginionych, obozy, dymy nad miastami, popioły, ranni wołali, przemijając oczy — matko, matko.

Gdy idziemy naprzeciw życiu w planach naszych biegi odwracając rzek, wyznajemy prawdę wielkości w nadziei, którą człowiek niesie.

1950

M I Ł O Ś Ć

Obdarzonym wyobraźnią nie trzeba wiele, a jednak muszą mówić o ziemi. Z niej jesteśmy i ona nas niesie, jak rzeka dymiąca popiołem, wąską łódź. Los nas od niej nie oddali, gdzie indziej nie rzuci, w niej nasza tęsknota, serce i mózg.

Niedoświadczony z dna ciemności oczy świt wyprowadza ku słońcu, krzyk nędzy jak cięcie nożem, krzyk rozpaczliwych bólów. Kochać tę ziemię za mało rozpacz, trzeba jej ulec!

Wszyscy i niej mówimy — o ziemi, nawet gdy wzrok podnosimy wwyż. I nie znamie nas ogień, nosimy w sobie wytrwałość jak mury skruszałe wiatrem i deszczami, bo nam wciąż ziemi za mało, bo nam za mało miłości.

Dlatego skoro świt, gdy pierwsze koguty noc przelamują rannym pianem, nam trzeba iść przed siebie, wprost ku ogrodowi, pełnym warzyw i owoców, gdzie ludzie pochyleni w pracy, gdzie kobiety ciężarne noszą płód z nadzieją, że syn nie zginie na wojnie, będzie inżynierem, gdzie miasta nowe pośród czarnych gruzów i kasztan na drodze zeschły jak robaczki, gdzie dniem płoną huty i noca, a opodal dzieci bawią się na trawie i niebo przebija drzew rozrosłych zieleń.

Nam nie potrzeba wiele, ale ziemi, ziemi za mało!

MARCELINA GRABOWSKA

R O D Z I N A*)

Rys. Stefan Gierowski

Adam Jędraszek, „młodociany” robotnik w przędzalni i uczeń SPP, zaniedbał się z kretelem w nauce. Dwój — nie wiedział sam — ile. Najgorsze: rok szkolny się kończył, a on w ogóle przestał chodzić do szkoły. Do pracy w fabryce — owszem, ani jednego nawet spóźnienia — temu zawdzięczał, że długo mu się udawała szkolna bumerka. W końcu jednak nadeszła do personalnego skarga, dowiedziano się o wszystkim. Groziło mu: wyłączenie z pracy i ze szkoły. Ponieważ był członkiem ZMP — Zarząd Fabryczny postanowił zająć się jego sprawą i wezwał go na zebranie.

Siedział na krześle zgarbiony i patrzył orzechowymi oczyma na przewodniczącego. Rząca starał się dojść, co się za tymi oczyma kryje, aby rzecz rozstrzygnąć jak należy. Ale nie znalazł w nich ani myśli, ani żalu. Raczej dziecienny lek: co wy ze mną zrobicie?

— To żaden sąd — powiedział do chłopca. — Nie masz rodziny, a jesteś nasz. Chcemy wiedzieć, co z tobą zrobić.

Jędraszek nie zmienił pozycji, ani wyrazu twarzy. Wiedział? Będzie jak postanowi. Czy on kieruje swoim losem?

Z rozmaitych stron zaczęły padać pytania. Jędraszek odpowiadał niewinnie — szczerze, za każdym razem — odpowiadając — zwracał się całym ciałem do pytającego. Ale i tak nic nie wychodziło.

Dlaczego nie chodził do szkoły?

Koleżdy namówili. Bardzo lubi grać w piłkę nożną. Nie sądził, aby się przez to coś zepsuło. I tak nic nie umiał, niczego się nie mógł nauczyć. Swoją zawód lubi, a książek — nie.

Nieuczciwie myślał, całkiem źle myślał — tłumaczyła Pawłówna. Państwo na ciebiełoży, obciążasz budżet fabryczny, a tracisz czas na piłkę.

Przecież w fabryce pracowałem. Ale fabryka płaci ci pełne uposażenie, a ty pracowałeś tylko trzy dni. Chodzenie do szkoły — to także płatna praca. Nie chodziłeś — całkiem jakbyś kradł. Jakbyś nas wszystkich okradał.

Opuścił głowę, włosy spadły i gęsta zasłona przysłoniła twarz. Milczeli i spoglądali po sobie w niepewności. Czekali, aż się sam odezwie.

Kiedy ja się nie mogę uczyć! Niech będzie sześć dni pracy. Niech będzie. Lubie swój zawód i na pewno się wyuczę. A szkoły nie znoszę.

W kółko to samo. Nie rozumiem, że w fabryce nie nauczy się tego, co w szkole. Jeśli lubisz swój zawód — trzeba, abys go gruntownie poznał. Co za lubienie? Po prostu ciągnie majstrówanie, a myśleć się nie chce.

I co się z tobą stanie? — biadolił Rząca. — Wylej, a ty u obcych mieszkasz, nie masz żadnej rodziny. Fachu jeszcze dobrze nie znasz, całkiem się wykoleś.

Chłopiec patrzył pokornymi oczyma. Czekal na jakąś wskazówkę, a Rząca jej nie podał. Na wszystko się ten łamaga zgodził i wszystko obieca, czego się od niego żąda. A potem — widac to po nim — i tak nic nie dotrzyma. Poza tym straconego na pewno nie odrobi.

Naradzimy się jeszcze. Zgłoś się za dwa dni.

Chłopiec się skłonił. — Dziękuję. Przepraszam. — Zwrócił się szybko ku drzwiom. Na młodzikowej, szczerzej twarzy zadowolenie. Na dwa dni spokoju. Nie będą męczyć.

Ale przy samych drzwiach: — Przepraszam. Tymczasem z fabryki wyleją. Wypłaty nie będzie. I gospodni jeść nie da.

Stał zakłopotany, wyraźnie przykro mu było, że szanownemu zgromadzeniu zabiera czas tymi swoimi — dla niego samego nudnymi — sprawami. Ale do kogo się zwrócić? Rząca rozniewał się na niego. — Dawniej nikogo by nie obchodziło, że taki jak ty nie ma co jeść. Lepsi od ciebie głodowali i nikt się nie liczył z ich pretensjami. Narobiłeś bigosu, wysił się: sam zjedz. Co ty myślisz?! ZMP jest od tego, aby nierobów bronić i utrzymywać!

Jędraszek się stropił. Powiedział raz jeszcze swoje: przepraszam. Ale szedł ku drzwiom dużo wolniej, niż przedtem.

No i co wy? — Głos z obcym, śpiewnym akcentem zatrzymał Jędraszka, zwrócił wszystkie głowy w jedną stronę. W kącie, ukryta za innymi siedziała Ulana Dąbrowiecka, milczała dotychczas, zapomniała, że ją zaproszono. — I z czym chłopiec pójdzie? Do kolektynu ze swoją sprawą przyszedł. Nie może odejść taki jak przyszedł.

Chłopiec zwrócił na nią oczy — nieobojętne już i niebezmieślne.

Czemuś wstąpił do ZMP? Oczy Jędraszka zgasyły. Na twarzy odbił się zawód i zniechęcenie. Co to? Egzamin? Poruszył go ciężki ton, z jakim się odezwała, a teraz pytanie zdusiło nadzieję. I ona nie pomoże. Każdy by tylko męczył, ciekawość swoją zaspokajał. A tymczasem on sam niewiele wie o sobie.

— Czemu nie odpowiadasz? — zawołał zniecierpliwiony Rząca. — Nawet nie raczysz odpowiedzieć.

Chciał coś dodać, ale Dąbrowiecka przerwała: — Zaraz... A może on nie wie. Nie jego przecie wina, że nie wie.

Chłopiec drgnął. Podeszedł bliżej do pytającej, jakby u niej szukał osłony. Nie odwracał już od niej oczu. Zrozumiał, że tu dla niego oparcie.



A czy ty wiesz, co to ZMP? Nie? Koledzy się zapisali, więc i ty... co? — Nie odpowiadał, bo czytała w nim odpowiedź bez zbytecznych słów. Tak było. Prawda. Prawda.

A legitymację masz?

Sięgnął skwapliwie do kieszeni, wyciągnął ku niej brudny, zniszczony karton.

Popatrz jak ona wygląda, ta twoja legitymacja. A to przecież równocześnie twoja metryka. Rodzinę ci daje. Umarła twoja matka i ojciec nie żyje, a ta legitymacja daje ci ojca i matkę i więcej jeszcze, bo twoja nowa rodzina nie podlega śmierci.

Chłopiec zrobił znowu krok naprzód i nagle odsunął się ci, który śledził między nim, a Dąbrowiecką. On ich zresztą i tak nie widział.

A nie wiesz ty, że taką legitymację w sercu się nosi, nie w kieszeni? Nie wiesz, nie wiedziałeś, a trzeba to koniecznie zrozumieć. Za łatwo przyszło, myślałeś: nie ma co szanować.

I nagle chłopak się rozplakał. Włożył palce w usta, tłumil łkanie, ale płacz targał nim, wyrwał się na powierzchnię — ani rusz stłumił.

Dąbrowiecka już na niego nie patrzyła, zwróciła się do zebranych. — Ja prawa tu żadnego nie mam, gościem tylko jestem. Ale może należałoby taki wniosek: żeby delegacja do fabryki posłała prosić za nim. A on deklarację złoży, że uczę się będzie tak pilnie jak pracował.

Przyjaciele kpili z Jędraszka: uciepł się babskiego fartucha. Próbowali go drwinami oderwać. Ale z niego twarda szutka, uparty. Patrzył spoje lba, milczał, cokolwiek mówili. Pozostał przy swoim.

Trudne ani nastąpił dla niego. Ciężkie nałożono zadanie: przełamać samego siebie. Chłopcu, który się do tego przyzwyczaił, że samemu sobie najprędzej się ulega.

Kiedy na zebraniu ZMP — przy wyborach, albo przyjmowaniu nowych członków — słucha się chłopców życiorysów, uderza w nich jedno: jak bardzo się powtarza motyw sierotowa. Robotnicy żenili się młodo, mimo to warunki życia skracali czas, który mogli poświęcić dzieciom.

Adam urodził się w Krakowie. Matka chorowała, długo nie było dzieci. Niemniej ciężka przyniosła nie radość, tylko zgryzotę: w złym przyszła czasie.

Zawód męża: murarka. Dobrym był mężem — nie pil. Kiedy pracował — zarabiał nieźle. Sezonowe bezrobocie nadrabiało się oszczędnością, posługami, dorywczymi pracami. Ale budowano coraz mniej — szedł kryzys.

Coraz więcej roboty musiała na siebie brać Jędraszkowa. Już nawet próbowała — mimo skąpych sił — prania. Nie dopuszczała do ośmu smutku. Kiedy się jednak chłopak urodził, bezrobocie trwało nad domem niby chmura — w ponure, jesienne dni. Ani promyka.

Dobrze musieli oboje wyteść spryt i energię, aby nie zginąć. Ojciec szukał, gdzie by taniej kupić — mleko, drob. Przebywał piechotą wiele kilometrów, dla niewielu groszy dzwigał nieraz duże ciężary. Matka podchwytywała łaskę skąpej dobroczynności: gdzie obiad dla bezrobotnych, gdzie jakieś łachmany, czy może zapomogi. Coraz z tym było trudniej: bezrobocie rosło, a dobroczynność nie rosła.

Mały Adaś cieszył się, że wiosna i słońce ciepłe. Matka ściągnęła z niego nieprzyjemne, krepujące ruchy szmaty, można rzucić pończochy — zwijały się, przeszkadzały w bieganin.

Ale ta wiosna nie przyniosła nic dobrego. W pewien ranek matka — zawsze pogodna — płakała. Prosiła męża — nie idź. — Nie odpowiadał wcale, wyrwał się szorstko przytrzymującym go ramionom. Po-

dobrze mu było w te pogodne wrześniowe dni. Swoboda i zyciowość, jakich dawno, dawno nie znalazł, a nawet wcale już nie pamiętał. Naloty mu nie przeszkadzały: jeszcze jeden punkt w zajmującej przygodzie. Patrzył ciekawie w niebo i jeżeli kłół się na ziemi, czy wskakiwał do rowów, albo chronił się do lasu — czynił to jedynie dla solidarności z gromadą. Wcale mu się nie udzielał jej strach.

Tak zawędrował do Łodzi i tu pozostał. Zapoznał się z chłopakami, pomogli mu w dostaniu kolportażu pisma. Wykrzykiwał jego tytuł i wykrzykiwał się ordynarnie do pani, która go zapylała: — Czemu pomagasz Niemcom w propagandzie? Niezłe były wojenne lata. O zarobek nie trudno i zarabiał się! Starczyło na dobre życie. W poczuciu swojej ważności próbował palić papierosy. Palił, zatrzymując dym w ustach, bo ile razy się zaciagał — wymiotował. Potem zaczął palić; urwisy poznali się na udawaniu — wydrwili.

Spali pokotem u baby, która wyrabiała papierosy. Bila ich nieraz, bo ją oszukiwali, okradali. Pozwalali się bić, podstawiali z humorem pięty pod słabe pięści. Nie takie znali cięgi.

W niedzielę Adaś pchał się z kolegami do kina. Siadał niedaleko ekranu, patrzył na zniekształcony, spłaszczony obraz, wykrzykiwał z innymi w ciekawych momentach, śnał wargi w długim emoklicju, kiedy się na ekranie całowano.

Wieczorem chodzili niekiedy pod teatr, czekali na wychodzących gości. To satysfakcja: tak z nagłą plunąć pod nogi wytwornej paniusi! Albo roześmiać się z siłą — mocą wprost w czyste zgorzone, czy zgola przerażone oczy. Co wy sobie myślicie? Ze jesteście więcej od nas wari? Czy potraficie tak dać radę życiu jak my?

Wesoło było w te lata! A jednak... coś nie dawało spokoju. Coś było w sercu chandry — tęsknotą. Czulo się, że owszem: wesoło, a równocześnie nie tak jakby się chciało.

Starsi koledzy radzili: pij. Kupował dziewczynkom cukierki, pozwalały się za nie dotykać. Ale on nie tego chciał. Nie wiedział, a tęsknił za matrym, serdecznym słowem.

Wesoło w „ferajnie” ale sędęćności w niej nie szukał. Młodzi uczyli ich filmowe ekrany, życie zaś niezgorzej było. Nie wolno się rozkładać, niebezpiecznie. Gdyby wiedzieli o tęsknotach Jędraszka złożyliby: baba! Albo nawet gorzej — zaczęliby naciagać.

Skończyła się wojna. Stara paczka rozlaża się, przestała istnieć. Wzywano do fabryk i chłopcy poszli. Gazety — żadna przecie przyszłość.

Jędraszek poszedł także. Stał przy maszynie i świeża pamięć półanalfabety chwytala w lot wyjaśnienia. Przetwarzał je w czyn rzecz, nymi palcami. Ale nie zadowolili się tym, posłali na kurs, kazali się uczyć. A tu już zawodziła pamięć i zrecność palców.

I tego jeszcze było im mało. Powiedzieli: młodociany ma iść do szkoły. Jaki tam młodociany? Wnet skończył piętnaście lat. A od kiedy na własnym garnuszku? Zupełnie dorosły.

Ani przekonać — pilowali, nie dawali spokoju. Majster, robotnik, który wprowadzał go do zawodu, wreszcie nawet właściciela mieszkania: — Więcej się naumiesz — dalej zajądziesz. Smarkacz! Zdobyczy demokratycznej uszanować nie potrafił. Otwiera się przed nim drogę do dobrego życia, a on się namyśla. Nie tak dawniej bywało. Ale co wy z tego rozumiecie, łobuzy?

Z początku uczył się nawet nieźle: nowosć pociągła. Ale jak tu usiedzieć tyle godzin w ławce, jak przywyknąć do naprężenia uwagi? Niektóre lekcje interesowały, a niektóre solidnie nudziły. I „nowosć” się „opatrzyla”.

Nie sądził, że wyleją, nie przejmował się naganami. Czy nie był „chłopcem, na którego nie ma sposobu”?

A jednak przełamał się; zmienił się i przezwycięzał codziennie, aby tylko nie zrazić do siebie Dąbrowieckiej i jej męża.

Wieczory w przytulnym pokoju. Jasne oczy i kobieca ręka, promieniająca ciepłem. I męski szorstki głos: — Jak ci tam poszło? Dajesz sobie radę? — Warto się męczyć, aby tego nie stracić. Wszystko zniesie, bo wżamian otrzyma, co mu zostało odebrane zbyt wcześnie.

Marcelina Grabowska

*) Fragment powieści p. t. „Siędem skór”.

JERZY WIATR

MONOGRAFIA SZKOŁY

I. POCZĄTKI SZKOLNICTWA ŚREDNIEGO W GODZIANOWIE

Godzianów jest wsią dość dużą (730 mieszkańców — 1125 ha ziemi). Przeważają gospodarstwa średniackie (4—9 ha). Biedniacy są we wsi stosunkowo nieliczni. Grupa bogaczy wiejskich posiadała przed wojną i później panującą pozycję we wsi. Brak majątku obszarniczego, a co za tym idzie proletariatu rolnego, wzmacniał też pozycję kulaństwa. Wsielna polityczna tradycja ruchu ludowego („Zarenie”, „Wyzwolenie”)

teżnymi trudnościami. Przede wszystkim trudność stanowił tajny, konspiracyjny charakter nauczania. W razie ujawnienia groziły represje ze strony okupanta. Dalej, organizatorzy szkoły mieli do zwalczania trudności techniczne jak: brak lokalu, brak mieszkań dla nauczycieli, brak pomocy szkolnych. Ogromną pomoc okazała tu szkoła powszechna. W jej lokalu i w dużej mierze przy jej pomocy szkolnych odbywała się tajna nauka. Gdy zaś w szkole na pewien

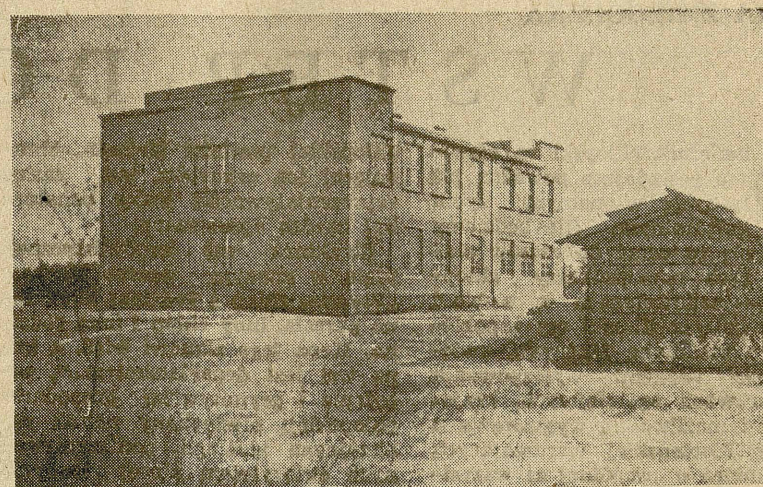
II. SITUACJA SZKOŁY PO WOJNIE

Po wyzwoleniu szkoła została państwowiona i rozpoczęła normalne nauczanie. Istniał szereg trudności natury technicznej, które szkoła miała do zwalczania. Tak więc, ponieważ lekcje odbywały się w budynku szkoły podstawowej i w godzinach popołudniowych, należało szkołę zelektryfikować. Prąd doprowadzono do szkoły od młyna, który już poprzednio był zelektryfikowany. Dla zaradzenia trudnościom młodzieży dochodzącej do szkoły z odległości wielu kilometrów wybudowano w 1947 roku internat szkolny. Wreszcie zakończono po wojnie budowę „domu społecznego”, w którym zamieszkała nauczyciele szkoły. Prace te odbywały się przy współudziale wsi (na przykład przy budowie internatu wartość pracy bezpłatnej oceniono na 500.000 zł.). Kierował tymi pracami — obok dyrekcji szkoły — Komitet Rozbudowy Szkoły. Na czele tego komitetu stali kulaćcy: Jagielski i Aleksander Białkowski. Postawa kulaćców wobec szkoły uległa radykalnej zmianie. Włażąc, że szkoła jest faktem nieodwracalnym, nie oddziaływać na nauczycielstwo i dyrekcję. W tym właśnie okresie (1945 r.) nastąpiła zupełna zmiana personelu. Grono nauczycielskie sformowane podczas wojny, złożone z ludzi przypadkowo zrzuconych na wieś, opuściło szkołę. Nowy dyrektor (K. Groszyński) zorganizował grono nauczycielskie z ludzi, którzy świadomie decydowali się na pracę na wsi pomimo wszystkich trudności z tym trudności natury i pedagogicznej i organizacyjno-bytowej. To grono nauczycielskie przetrwało wprawdzie niezmienionym składzie pięć lat. Byli to ludzie decydujący się na pracę w ciężkich, trudnych warunkach, ludzie niewątpliwie ofiarni i pełni najlepszych chęci. Ale równocześnie

dawała walce o przeniesienie szkoły wyraźny klasowy charakter. W interesie kulaćstwa leżało pozostawienie szkoły w Godzianowie. Wystąpiło tu niezwykle ciekawe zjawisko. Młodzież biedniacka — wcale nie nastawiona prokulaćczą — poparła te dążenia kulaćców do zatrzymania szkoły w Godzianowie. Stało się to wskutek tego, że wykorzystano „patriotyzm lokalny” i godzianowską ambicję tworzenia wsi przodującej pod każdym względem. Iluzoryczny i bardzo wątpliwego rodzaju „interes” Godzianowa przesłonił tej młodzieży rzeczywisty klasowy interes biedniacki całej okolicy. Oczywiście dla uniknięcia uproszczeń nie można pominać faktu, że dużą rolę w tym nieścisłym stanowisku biedniackiej młodzieży odegrało postawienie tej sprawy przez Kuczkowskiego poza plecam kolektynu uczniowskiego, który poczuł się tym — mniej lub więcej słusznie — urażony. Plany przeniesienia szkoły spaliły na panewce. Należy to ocenić jako porażkę biedniactwa, które zresztą nie zdawało sobie i nie bardzo jeszcze zdaje sobie z tego sprawę. W okresie powojennym dokonują się również interesujące zmiany wśród młodzieży szkolnej. W roku 1947 powstaje szkolne koło „Wici” założone przez działaczy związkowych z lewym skrzydłem „Wici” (K. Kwiatkowski, S. Maszkowski, J. Polit). Koło to w okresie zjednoczenia organizacji młodzieżowych bierze czynny udział w pracy zjednoczeniowej. Młodzież wiciowa nawiązuje ścisłe kontakty z ZWM-owcami i OMTUR-owcami ze Skier. niedługo po zjednoczeniu koło ZMP staje się silnym ośrodkiem wpływającym radykalizującą na szkołę i na wieś.

III. ROLA SZKOŁY W WALCE KLASOWEJ W LATACH 1948-1951

Nowy moment w życiu wsi, a co za tym idzie w życiu szkoły nastą-

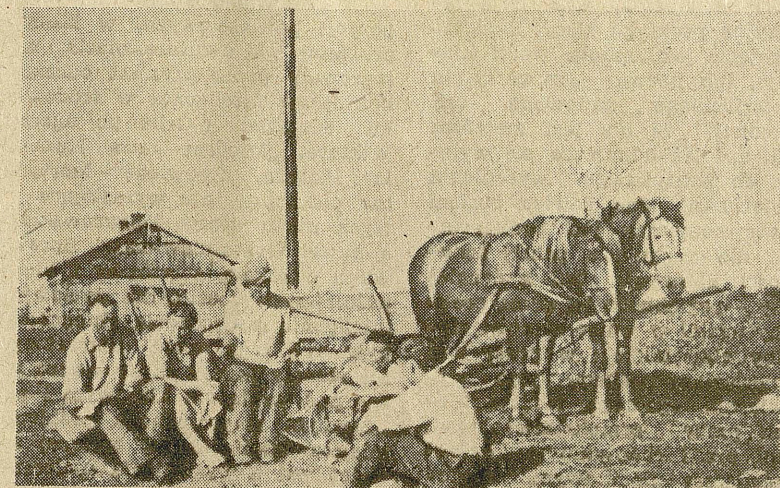


Gimnazjum w Godzianowie

rania dla ich dokładniejszego uzasadnienia. Nie pozostało to bez echa. Stanowisko byłych wychowanków znalazło poparcie wśród grupy szkolnej młodzieży zetem-powskiej, która czynnie włączyła się do toczącej się walki. Licealiści nie tylko dyskutowali wewnątrz szkoły, ale także zaczęli demaskować kulaćków na łamach prasy. W trakcie tej walki grupa aktyw-nych zetem-powskich ze szkoły została przyjęta do PZPR, która powstała w Godzianowie w 1949 roku. Odtąd ludzie ci stali się w pełni awangardą walki przeciw kulaćtwu we wsi. Do najczynniejszych działaczy zetem-powskich przynależeli do PZPR należeli Kwiatkowski, Maszkowski, Ciesielski, Majcher. Dwaj pierwsi zdali w 1949 maturę i zostali nauczycielami w szkole godzianowskiej (w klasach podstawowych). Stawiając oni wyraźne przeciwieństwo reszty nauczycieli. Nauczyciele uczący w szkole godzianowskiej stawali się w czasie zaostrzającej się walki unikać udziału w niej. Ograniczali się do spełniania obowiązków zawodowych. Najwyżej wyrażali gotowość wzięcia udziału w pracy społecznej, ale sami nie szukali form tej pracy. Toteż życie społeczne wsi odczuwało się za ich plecami. Równocześnie byli oni dość dalecy młodzieży. Młodzież miała swoje problemy. Ścisłe związana z życiem wsi brała niezwykle czynny udział w toczącej się walce. Postawa nauczycielstwa utrudniała w tym okresie walkę ZMP o radykalizację młodzieży, gdyż młodzież bierna, a tym bardziej wroga znajdowała poparcie dla siebie w biernym, dwuznacznym stanowisku nauczycielstwa. Natomiast młodzi nauczyciele-zetem-powcy stali się prawdziwymi towarzyszami walki z grupą młodzieży. Swym doświadczeniem i stanowiskiem ułatwiali pracę ZMP nad uaktywnieniem młodzieży w walce przeciw kulaćtwu.

Rok szkolny 1949/50 był okresem bardzo silnych walk na terenie szkoły. Nic dziwnego. W życiu wsi był to okres tworzenia spółdzielni produkcyjnej.

Bardzo wyraźnie uwidoczniła się radykalizująca rola internatu szkolnego. Internat grupujący około połowę młodzieży szkolnej stwarza sprzyjające warunki dla większego wpływu ZMP na tę młodzież. Właśnie grupa mieszkańców internatu stanowi najbardziej bojową i oddaną część młodzieży. Od niej wychodzą — zniezawidzone przez kulaćków — artykuły i korespondencje



Po pracy

do prasy, demaskujące formy wyzysku kulaćckiego w całej okolicy. W tym czasie kiedy we wsi do-rzewa myśl o spółdzielni produkcyjnej, kiedy trwa wyteżona agitacja za spółdzielnią i niemniej zaciekle kontragitacja kulaćków, w tym samym czasie młodzież coraz wyraźniej negatywnie ocenia postawę nauczycielstwa i dyrektora, stawia im zarzuty i wymagania. Spotkaliśmy się z krytycznym stosunkiem nauczycieli, a w szczególności dyrektora Groszyńskiego do tej postawy młodzieży. Wysłunięto poważny zarzut, że było to podrywanie autorytetu personelu szkolnego. Ale analiza sytuacji politycznej wsi pozwala — moim zdaniem — na inną ocenę tego zjawiska, trzeba przyznać że nieodczłonne-go. Młodzież atakując większość nauczycieli ze szkoły, co miało stworzyć szkole trudności kadrowe. W istocie od słusznego i troskliwego rozwiązania sprawy kadru dla szkoły zależał jej dalszy rozwój i jej udział w życiu wsi, a więc w dużej mierze zależał od tego dalszy przebieg walki klasowej w Godzianowie. Można tu wysunąć wniosek, że dokonany przez władze oświatowe eksperyment, polegający na powołaniu do szkoły jako nauczycieli najlepszych jej wychowanków, udał się i zasługuje na kontynuowanie. Rozwiązanie jednak można znaleźć jedynie na drodze skierowania do szkół wiejskich pełnowartościowej (politycznie i zawodowo) kadry nauczycielskiej.

Jerzy Wiatr



Dom nauczycielski

nie”) i kierowane przez grupę bogaczy wiejskich „Wici”. W życiu gospodarczym wsi ogromną rolę odegrały założone przez kulaćków spółdzielnie (mleczarska, piekarska, betonarska, spożywcza). Były one ściśle związane z gospodarstwami bogaczami i były powodem pewnego rodzaju kapitalistycznej postępowości Godzianowa, polegającej na wyższym niż w innych wsiach poziomie produkcji kapitalistycznej, lepszej organizacji zbytu, zakupów i inwestycji. W okresie przedwojennym bogaci chłopcy kształcili swe dzieci przede wszystkim w szkołach rolniczych. Prawie wszyscy obecni kulaćcy godzianowscy uczyli się w tych szkołach.

W czasie okupacji niemieckiej w Godzianowie nastąpiło wyraźne zastrzeżenie antagonizmów klasowych między białotą a kulaćkami. Fakt ten spowodowany był kilkoma przyczynami. W wyniku korzystnej sytuacji gospodarczej (dodatkowe źródła dochodów dla gospodarstw kulaćkich) powstała w czasie wojny, bogactwo poważnie zwiększyło swój potencjał ekonomiczny. Masowo kupowali nawozy sztuczne i maszyny rolnicze. Tym samym zwiększyła się eksploatacja biedoty wiejskiej. Drugą przyczyną tego wzrostu antagonizmów klasowych było podniesienie się świadomości politycznej biedoty wywołanej wzmożonymi kontaktami z ośrodkami AL-owskimi w powiecie łowickim. Wreszcie niezwykle mobilizująca na biedotę działała wiadomość o zwycięstwach Czerwonej Armii.

W ślad za wzrostem świadomości politycznej biedoty zaczynała do-rzierać potrzeba nauki. Uświadamiano sobie coraz wyraźniej, że kulaćcy mają nie tylko przewagę gospodarczą, ale i przewagę wiedzy. Tę właśnie przewagę wiedzy biedniacka młodzież chciała wyrównać bogactwem. Nastąpiło tu nurtowanie wśród grupy radykalnej młodzieży wiciowej z Godzianowa (Józef Możga, Franciszek Meszka) Lipiec (Stefan Kuczkowski), Woli Drzewieckiej (Felix Starzec). Od grupy tej wyszła inicjatywa zorganizowania we wsi tajnego naucza-

czas zakwaterował oddział wojska niemieckiego, lekcje przeniesiono do zabudowań chłopskich. Dużą rolę w przewycieżaniu trudności odegrała sama młodzież. Dla zwalczania trudności mieszkaniowych młodzież podjęła w 1944 roku budowę domu społecznego (tzw. „glinianki”), w którym po wojnie znaleźli mieszkania nauczyciele szkoły. Obok tych trudności wynikających z przyczyn technicznych i z warunków konspiracyjnych istniały jeszcze innego rodzaju przeszkody. Powodem ich był negatywny stosunek bogaczy wiejskich do tajnego nauczania. Kulaćcy agitowali przeciw formowaniu kompletów, przekonywali młodzież o nierealności tej inicjatywy. O sposobie i politycznym charakterze tej argumentacji świadczy wypowiedź wybitnego działacza kulaćckiego Franciszka Jagielskiego:

— „Po co wy się uczycie? Wy się będziecie uczyć, a kto przy gnoju będzie robił. Lepiej byście się za coś porządnego wzięli”.

Pierwsza grupa objęta tajnym nauczaniem składała się z dwóch kursów. Kurs A obejmował młodzież starszą, przedwojennych wiciarzy. Byli to zarazem organizatorzy nauczania i przez cały czas istnienia szkoły jej ideologicznym przewodnikami. Obok nich istniał kurs B, grupujący młodzież w normalnym wieku szkolnym. Rekrutowała się ona z absolwentów szkoły powszechnej zwerbowanych na podstawie listy dostarczonej przez kierownictwo szkoły. Rocznie następne, przychodzące co roku do szkoły rekrutowali się głównie z młodzieży w normalnym wieku szkolnym. Ogółem tajnym nauczaniem objęta była grupa złożona z około 100 osób (we wszystkich rocznikach). Była to młodzież, nie tylko z Godzianowa, ale i z innych wsi, przede wszystkim z Lipiec i Woli Drzewieckiej. Uczestnicy tajnego nauczania wytworzyli niezwykle zwarty kolektyw uczniowski. Cechowała go ogromna solidarność i świadomość odpowiedzialności za podjęte zadanie. W swojej chłopięckiej szkole uczniowie widzieli środek na zaradzenie krzywdzie społecznej, nędzy i zafacjanii. — Mówią o tym wyraźnie artykuły z nie-drukowanej jednolówki. — Nie-wątpliwie nie uświadamiali sobie jeszcze wtedy, że tylko w pewnych warunkach historycznych, warunkach określonych zdobyciem władzy przez klasę robotniczą w soju-szu z pracującym chłopstwem, szkoła wiejska będzie mogła spełnić pokładane w niej nadzieje.

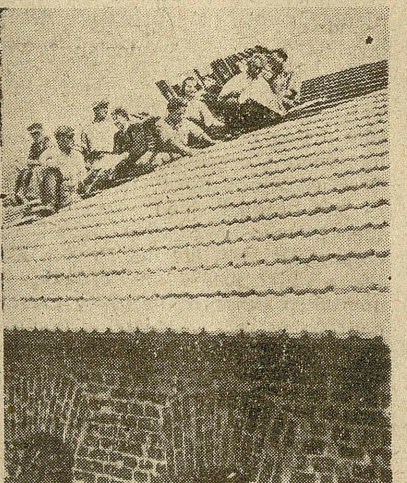
Wyrazem tej solidarności kolektywu uczniowskiego była niezwykle natężona walka o każdego ucznia szkoły. Młodzież ta musiała przeciwstawić samą siebie pracować a ponadto borykała się z trudnościami wynikającymi z nieprzygotowania do szkoły średniej. Jeżeli pomimo to kilkunastoosobowa grupa ukończyła szkołę w tym pierwszym roczniku, to stało się to możliwe tylko dzięki kolektywnemu wysiłkowi młodzieży. Wysiłek ten przejawiał się w szeregu form samopomocy koleżeńskich takich jak: podciąganie opóźnionych i słabszych w nauce uczniów, a nawet pomoc w pracy zawodowej wtedy, gdy utrudniała ona naukę.

Pierwsza grupa maturzystów szkoły, ta sama grupa, która zorganizowała naukę, nie zatraciła kontaktów ze sobą po opuszczeniu szkoły. Nie zatraciła również — przebywając w mieście — kontaktów ze szkołą i ze wsią. Zorganizowane zostało mocne i bardzo aktywne koło byłych wychowanków szkoły, które w niedługim czasie odegrało poważną rolę w życiu szkoły i w życiu całego Godzianowa.



Godzianowska młodzież

niezwykle słabi ideologicznie i podatni na wrogie oddziaływanie. Nie będzie bezpodstawnie i iluzoryczne twierdzenie, że gdyby ci ludzie otrzymali pomoc z zewnątrz byłoby w stanie uczynić szkołę mocnym ośrodkiem radykalizacji wsi. Ale pomocy tej nie dostali. Nie mogli jej dostać, bo w Godzianowie jeszcze nie było takiego ośrodka walki o przebudowę wsi. Godzianów był opuszczony przez kulaćstwo, przez PSL. Oddziaływanie kulaćstwa na szkołę było duże. Nauczycielstwo, nawet dyrektor uległ temu oddziaływowaniu. Wyrażało się to w nadawaniu szkole prawniczo - ludowego oblicza politycznego. W szkole szerzono specyficzny kult pamięci Witosza, którego kreowano na nieoficjalnego patrona szkoły. Aż do 1948 roku urządzano obchody rocznicy jego śmierci. Opinia wsi — a konkretnie opinia biedniackiej części wsi — wyraźnie ocenia ten okres jako bratanie się szkoły z kulaćkami. Bogactwo odbywali częste narady z dyrektorem szkoły, który w nich widział reprezentantów wsi. Specjalnie wyrażała się sprawa klasowego charakteru szkoły wtedy, gdy wyniki projektu przeniesienia szkoły do Lipiec Reymontowskich. Inicjatywę przeniesienia szkoły wysunął jeden z jej organizatorów Stefan Kuczkowski. Zyskała ona aprobatę aktyw wiciowej z Lipiec i z powiatu łowickiego. Za przeniesieniem szkoły przemawiali cztery bardzo istotne względy: 1) gęstsze zaludnienie okolicy i większa ilość uczniów szkół mieszkających w Lipcach i w okolicy Lipiec niż w Godzianowie; 2) istnienie w Lipcach przystanku kolejowego (ważne dla nauczycieli dojeżdżających z miasta); 3) większa odległość od Skierniowic, gdzie jest szkoła średnia. Do Lipiec ze Skierniowic jest 20 km, do Godzianowa 9 km. Większe rozrzućcie sieci szkół ułatwia młodzieży biedniackiej dostęp do nich; 4) biedniacki charakter Lipiec i wsi okolicznych (Zagórze, Wola Drzewiecka, Chlebów) w odróżnieniu od średniackiego z dużymi wpływami kulaćków Godzianowa. Konsekwencją tego była inna sytuacja polityczna w Godzianowie (wyraźnie reakcyjno-peeselskim) niż w radykalnych Lipcach. Ta ostatnia przyczyna na-



Przy budowie spółdzielczej obory

nia. Był to rok 1940. W okolicznych wsiach znajdowali się nauczyciele gimnazjalni wysiedleni z ziem zachodnich. Z aprobatą i pewną pomocą spotkała się ta inicjatywa również u kierownika szkoły powszechnej Wojciecha Gruzela. W późniejszym już okresie sprawą godzianowskiego tajnego nauczania zajęły się konspiracyjne władze oświatowe działające w powiecie skierniowieckim. Zorganizowały one w Godzianowie komisję egzaminacyjną dla podobnych kompletów gimnazjalnych istniejących w innych wsiach.

Głównym jednak ciężar organizowania nauki spoczął na wymienionej poprzednio grupie działaczy wiciowych. Borykali się oni z po-

MARIA ŻMIRGODZKA

WSTĘP DO BIOGRAFII BIEDNIAKA

Pamiętnik chłopski to zjawisko posiadające poważną już tradycję w naszym życiu kulturalnym. Nie będziemy się tu cofać do czasów starych pamiętnikarzy chłopów — zadowolonego z siebie i świata soltyśa Słomki czy zapobiegliwego biedniaka Magrysa, uwiedzionego urokami występowania „w sprawach ogólniejszych, krajowych” i możliwością wygłaszania u Bramy Floriańskiej wzruszających przemówień o „wspólnie ze wszystkimi stanami pracy nad odrodzeniem Ojczyzny”. Bliższe tradycje współczesnego pamiętnikarstwa chłopskiego sięgają będą 20-lecia międzywojennego, gdy w pamiętnikach wyzyskanych przez Państwo-wy Instytut Kultury Wsi przemówił głos nędzy i społecznego opuszczenia wsi — bezsilny a gniewny, nieporadny w szukaniu przyczyn i środków zaradczych, a żądny światła i ludzkich warunków bytu.

„Młode pokolenie chłopów” — było książką, która argumenty dla tezy burżuazyjnej socjologii i burżuazyjnego demokratyzmu znalazła w materiale „Pamiętników chłopów” — aż nadto łatwo; nie potrzebowała uciekać się nawet do naciągania materiału faktycznego. Jednak w 20-leciu międzywojennym nie można było wydać książki pod nieco zmienionym tytułem, z pracowni żadnego z instytutów „badań społecznych” nie wyszło „Młode pokolenie robotników”. Materiał, który mógłby przynieść konkurs na życiorys proletariatu byłby nie do wyzyskania w publikacji tego typu. Istniały bowiem podstawowe różnice między stopniem rewolucyjnej świadomości mas robotniczych a chłopskich. Na płaszczyźnie pamiętnikarstwa różnice te doprowadzają do najzupełniej innego i odmiennego ujęcia materiału życiowego.

Pamiętnik robotniczy osnuje jest z reguły niemal wokół osi konstrukcyjnej, jaką stanowi droga tych doświadczeń zawodowych i politycznych proletariatu, które pogłębiają jego świadomość klasową. Życiorys robotnika obrazuje doświadczenia proletariatu do pozycji świadomego rewolucjonisty, jest typowym skrótem drogi ideowej, jaką przeżył musiela jego klasa, by stać się „klasą dla siebie”. W życiorysie działacza robotniczego wspaniałą ilustrację praktycznej znajdujemy sformułowanie Marksa, ustalające funkcje rewolucyjnej teorii: „Pilozofowie jedynie różnymi sposobami objaśniali świat, chodzi jednak o to, aby go zmienić”. Stosunek proletariatu do wiedzy, uparta praca nad rozszerzeniem własnych horyzontów poznawczych, nie ekлекtyczny zbieractwo ciekawostek — to dążenie do opanowania podstawowego narzędzia walki, jakim jest rewolucyjna teoria — właśnie po to, by zmienić oblicze świata. To założenie wyznacza zarówno drogę robotniczego zdobywania wiedzy, jak i stosunek do dorobku naukowego burżuazji. W życiorysie robotnika walka o dostęp do burżuazyjnej szkoły zajmuje niewiele miejsca. Jest to zarówno skutek sytuacji życiowej proletariackiego dziecka, jak z drugiej strony — pełne docenienie możliwości kształcenia, jakie daje rewolucyjna praktyka klasy. Stąd takie pojęcia jak „szkoła walki klasowej”, lub nazwa „uniwersytetu proletariackiego”, nadawana celowi wieźniemu, to nie jest metafora pusta, ani też odnośnica się wyłącznie do politycznego wyrobienia proletariatu. Jak pewien poziom oświaty konieczny jest proletariuszowi dla osiągnięcia pełnej świadomości klasowej, tak z drugiej strony — pogłębienie jej przez praktyczny udział w walce stanowi niezbędny etap także i w pracy nad podniesieniem poziomu jego wykształcenia ogólnego. Nadaje kierunek pracy — samokształceniowej, chroni przed chaotycznym kolekcjonerstwem ulamkowym, niepołączonych lub przeczących sobie wiadomości, uczy krytycyzmu i przyswajania tylko tego, co istotnie tworzące i postępowe. Obyrkiem w pełni wieźniemu, przedzierając się przez stronicę „Kapitału”, dzieki swym praktycznym wiadomościom o „wartości dodatkowej”, uzyskany w czasie walki strajkowej z przedsiębiorcą piekarskim i Obyrkiem nad poematem Firdusiego wypowiadający oburzenie, że proletariacki odczyt jest o możliwości poznania najpiękniejszych przejawów kulturalnej tradycji ludzkości — to symbol roli, jaką dążenie do nauki gra w życiorysie robotniczym.

Inaczej przedstawia się sprawa pamiętnika chłopskiego — takiego, jakim przekazała go tradycja 20-lecia. Różni się on od pamiętnika robotniczego o tę ideową odległość, jaką dzieli pozycję świadomego rewolucyjnego proletariatu i mas chłopskich borykających się w jarzmie kapitalizmu, a nie widzących żadnej realnej drogi zmiany istniejącego stanu rzeczy, poza indywidualnymi perspektywami — bogatego ożenku, ciulactwa lub kariery „pańskie” w mieście. Stąd w pamiętniku chłopskim, stąd w tzw.

chłopskiej powieści 20-lecia, obrazującej los człowieka wsi, zasięgu reprezentatywności losów bohatera był bardzo ograniczony.

Struktura wsi kapitalistycznej, ujęta w znanym wzorze Marksa: „Parcela, chłop i rodzina; obok inna parcela, inny chłop i inna rodzina. Kopa tego stanowi wieś, a kopa wsi jest departamentem...”, zafosowanie i prymitywizm gospodarki chłopskiej; niesłychany nacisk reakcyjnych ideologii, podrywających autorytetem kleru; tradycja ruchu ludowego słabego w swym klasowym nurcie biedniackim, silnego w „piastowym” odłamie, prosperującym pod patronatem kulacko-kiejszym; agraryzm i Ul-owiciowa „walka o duszę chłopską” — to były potężne zapory, utrudniające dziecku biedniackiej wsi zdobycie rewolucyjnej świadomości. Droga buntu przeciw zwierzęcemu bytowi chłopu i jego społeczeństwu poniżeniu układała się jako próba ucieczki od warunków, które to życie określały lub jako walka o osiągnięcie „duchowej wyższości”, która mogłaby, choć na tym planie, równoważyć poniżenie społeczne.

Stąd życiorys chłopu z okresu dwudziestolecia, to jakże często walka nie z ustrojem, lecz z koniecznością „wyrzucenia gnój”; to bardzo często historia indywidualnej próby ominięcia praw ustalających życie klasy — nie zaś historia życia i dążeń klasy, historia jej walki o wyzwolenie. Stąd w życiorysie chłopskim decydującą rolę odgrywa sprawa nauki rozumianej jednak zupełnie inaczej, niż przez świadomych przedstawicieli proletariatu. W życiorysie dziecka chłopskiego ogromną wagę posiada sprawa formalnego uzyskania kwalifikacji naukowych — samouctwo jest z jednej strony wprawdzie powodem dumy, z drugiej jednak stwarza i w oczach wsi i samouka przekonanie o drugorzędności wiedzy zdobytej tą drogą. Podobnie i ludzie niedouczeni, zmuszeni do przerwania nauki przed jej ukończeniem, są przedmiotem drwin wsi i rozpacz rodziny. Pierwszorzędna rola gra bowiem użytkowa rola nauki szkolnej, jako środka uzyskania dostępu do zawodów inteligentnych, dających dziecku chłopskiemu możliwość osiągnięcia wyższej stopy życiowej i podwyższenie całej rodziny. Książka w ręku robotnika była słuszenie uważana przez stróżów porządku za zjawisko równie niebezpieczne jak dynamit. Książka w ręku chłopu w obrazie przekazanym przez autobiografię 20-lecia wiązała się często z oportunistyczną chęcią przystosowania się do wymagań ustroju, dociągnięcia się do ideałów kulturalnych burżuazji; krytycyzm zatrzymywał się na szczeblu „Janka Muzykanta” Sienkiewicza. Podobnie kształtował się stosunek do burżuazyjnej nauki i kultury, bezkrytyczny, protestujący najwyżej przeciw uderzającemu alim reliktom ideologii feudalnej — jak protesty młodzi wiejskiej, że w zakresie historii nie uczą się dzieł chłopskich dziełowej swej warstwy, lecz, że narzuca im się przekonanie, jakoby tradycja szlachecka wyznaczała jedynie cenny i wartościowy nurt kultury narodu.

To stanowisko wydało też szereg pozycji powieściowych, w których problemy wsi dwudziestolecia występowały przez pryzmat odczuć i konfliktów inteligenta w środowisku wiejskim („Orka na ugorze” Wiktora, „Młodość Jasia Kunefala” Pięta, „Spowiedź” Mortona, czy późniejsze, ale wyrażające z tegoż nurtu ujęcia Dunarowskiego a nawet Goździkiewicza). Sprawy walki o szkołę, zwycięstw i klęsk, późniejszych możliwości życiowych inteligenta pochodzenia chłopskiego były osią tego nurtu literackiego, nie stając jednak nigdy wobec jasno pod względem klasowym i politycznym zarysowanego problemu miejsca inteligenta w toczącej się walce wsi o wyzwolenie społeczne, jak to miało miejsce np. w „Ziem w jarzmie” Wasilewskiej.

Współczesna powieść o tematyce wiejskiej nie zrealizowała jeszcze poważnego zadania ukazania wsi dwudziestolecia, jej klasowej struktury, toczącej się w niej walki politycznej i nurtujących ją kierunków ideowych. Kronikę biedniackiej udręki wsi małopolskiej wniósł do naszej literatury Pogon; Gałą pokusił się w pewnych partiach „Myszkowic” o zobrazowanie życia politycznego wsi łowickiej — utopił jednak sprawę w bałacie naturalistycznych obrazków i niedyscyplinowanego gawędziarstwa. Sprawa pozostaje więc wciąż jeszcze otwartą.

Tym większe zainteresowanie budzić musi wydana niedawno powieść Stanisława Orla*).

„Pod Łysicą”, to fragment cyklu autobiograficznego zakrojonego na szerszą skalę. Spory tom relacyjny historii kilku lat życia Staszka Jastrzębia, zamykającą się między zaliczeniem dzieciaka „do ołów”, czyli przyjęciem go do I od-

ziału szkoły powszechnej, a wyprawą do szkoły wiejskiej, po ukończeniu siedmiu oddziałów i przerwie spowodowanej koniecznością służby u kulaka w sąsiedniej wsi. Dalsze losy chłopca, to już sprawa następnych tomów. Pierwszy — zawiera więc sprawę edukacji wiejskiego chłopca między 7 a 15 rokiem życia i obraz stosunków na wsi kieleckiej, widzimy oczyma „pastucha”. Wobec wyłączonej tej dziecięcej perspektywy trzeba pamiętać o autorskim zamięrowaniu kontynuowania cyklu, co niewątpliwie rozszerzy ogólne horyzonty powieści, ale też — na teraz zmusza do pewnej ostrożności w formułowaniu recenzyjnych wniosków w odniesieniu do opublikowanej części cyklu.

Tradycje, z jakich wyrasta książka Orla, są dość różnorodne; z jednej strony stanowią je z pewnością wątki spotykane w życiorysach chłopskich dwudziestolecia, z drugiej jednak niewątpliwie współdziała tu warsztat realisty socjalistycznego, wnosząc nowe ujęcia, nowy typ konfliktu, nowe, wyczuwalne już perspektywy losów bohatera.

Spróbujmy zestawzić to, co jest wynikiem schematu starego, utraconego w zapisie nieliterackim, będącym skutkiem tych zwożeń i zacięmięń świadomości, jakie wywalały warunki życia chłopskiego w 20-leciu.

W głównej mierze wysuwać się tu będzie na plan pierwszy dominujący osobisty tok relacji, który u pamiętnikarza wynika oczywiście z założen gatunku, ale jest także skutkiem nieumiejętności należytego wyboru zjawisk, czy też ich pełnej typizacji. Usuwa to w cień wszystkie inne postacie akcji, wprowadzając je o tyle tylko, o ile wiąże się one w sposób bezpośredni z głównym tokiem losów bohatera. Ich miejsce w akcji, stopień ich indywidualizacji wyznacza nie obiektywne znaczenie reprezentowane przez nie sił historycznych, lecz bezpośredni związek z osobą bohatera. Dotyczy to np. postaci gospodarza Gryzonia, u którego służy Staszek z jednej strony, a z drugiej — jego opiekuna i nauczyciela w tym okresie — wiejskiego komunisty Kandydiera. Gryzoniu narzuca autor uwadze czytelnika przez tysiące drobnych, uprzykrzonych syków, jakie na każdym kroku musi wycierpieć pastuch, przez pełne tupetu rozpachanie się lokciami wiejskiego potentata, przez fakt bezpośredniej zależności bohatera od jego woli i kaprysów. Kandydier pojawia się w akcji niebywale miagawo, występuje tajemniczo, tylko kilkoma radami i książkami oddziaływuje na bohatera, wreszcie znikła aresztowany. „Bo swoi biedni mił za mało i cudzą się interesował” — komentuje to wieś. A przecie niewątpliwie w zamiarze książki leży wskazanie, że kilka uwag Kandydiera wytycza w ogromnej mierze postawę ideową i moralną Staszka, staje mu się początkowo jeszcze niezrozumiałym, ale instynktownie przyswojonym kryterium oceny ludzi i zjawisk. „Prawda bła Kandydiera” to ma być polityczny sens tomu.

Oczywiście jednak przy takim ustawieniu toku relacji, obiektywne racja Kandydiera nie przemówi z pełną wyrazistością z doznań czternastoletniego wyrostka, autor zaś zamknął sobie drogę ukazania, w jaki sposób Kandydier interesował się bliżej „cudzą biedą”, w jaki sposób oddziaływał na masę biedniacką. Kulak przyciemnia nosiciela „nowego”.

Drugą cechą zbliżającą autobiografię Orla do typu ujęcia właściwego postawie pamiętnikarza i „pisarzy chłopskich” 20-lecia jest podporządkowanie planu powieści perypetioru walki o szkołę, traktowaną jeszcze w ogromnej mierze jako drogę indywidualnego „wyscicia ze wsi”. Stosunek do „drugiego świata”, reprezentowanego przez kulackiego syna i gościa dziedzica, jest chwilami chwytliwy: „Nigdy chyba nie przejdę do tego drugiego świata. Chocymy nawet do szkoły poszedł do miasta, chociażby...” — brzmi to jak rozżalenie i zazdrość. Toż szkoła nie rysuje się Staszku w innych perspektywach, niż jego ojcu, pełnemu fantazji i nie-realnych pomysłów „pijokowi i bijokowi”, który na pięciu morgach wyznaczył każdemu z synów światną przyszłość: „Na Kazika powiedział ojciec, że musi być księdzem, ksiądz ma zawsze co jeść, to i ojcóm będzie lepiej... Księdzem to i ja chciałbym być. Nie taki ojciec duchowny” nie robi, po „ochwiarze” chodzi i wszyscy go w ręce kulaj... Ja miałem być nauczycielem i to takim samym jak Ciarupa. Tak postanowił ojciec. Początkowo to mi się nawet podobało. Będę sobie chodził po klasie i — łup linia po łapie, buch książką po głowie lub wykrecę za ucho, postawię za karę na kolanach... Nawet maly Jurek miał być w planach starego Jastrzębia doktorem. Dlatego też później sprawa wyboru zawodu, gdy istniała jeszcze szansa nauki dla Stacha, nie jest problemem pierwszorzędym. Siedmiolatkiwo po-

doba się zawód... biskupa, później nauczycielstwo radzi rodzicom wybitnie zdolnego ucznia, by pchali go na doktora, a w momencie, gdy życie niszczy ambitne plany Jastrzębia „powraca znowu marzenie, żeby chociaż na nauczyciela”. Ważny bowiem jest moment „wyjscia ze wsi”, ucieczki od bylejakich warunków jej życia.

Podobnie wyraźny związek ze starym schematem „budzenia się samodzielności myślowej bohatera”, (tak częstym w ujęciach „wiciowych”) wykazuje kolejny rozkład „autorytetów”, przeprowadzony w powieści: demaskacja ojca, nauczyciela, księdza, dziedzica, bogatego gospodarza — tych przedstawicieli różnego typu władzy i obowiązujących norm życiowych, którzy naginają charakter i dążenia dziecka według swej woli. Na tym jednak polu właśnie wkraczają najżywościjsze elementy nowego, klasowego i realistycznego widzenia rzeczywistości, które w ostatecznym rozrachunku odgrywać w książce Orla rolę decydującą i rozstrzygającą o jej wartości.

Zdemaskowanie nauczyciela, księdza, kulaka i obszarnika ma bowiem charakter zdecydowanie klasowy, jest zdemaskowaniem instytucji i ich funkcji w ustroju — nie zaś osobistych podrostek i śmieszność jednostki, służy gromadzeniu społecznego doświadczenia bohatera — rysuje oblicze „drugiego świata” i uczy świadomej nieprzejednanej wrogości. Mimo wszelkich zachwiał ideowego pionu bohatera, ostateczna konkluzja rozmyśla o „drugim świecie” stanowi marzenie wywijającego białym pastucha — „smigaliśmy ich wszystkich, cały ten drugi świat”.

Klasowe widzenie rzeczywistości dominuje w powieści zdecydowanie, realizuje się zaś najpełniej w dwóch epizodach, które stanowią szczególne rozszerzenie osobistej historii pastucha — obrazach zorganizowanych akcji wsi biedniackiej, mających na celu pokrzyżowanie planów kulackich (wybory gajowego chłopskiego lasu) oraz protest przeciw lekceważącym i samowolnym wystąpieniom dworu (zatarg o polowanie). Potem zaś autor stawia już Staszka samego w sytuacjach walki klasowej z Gryzoniem — gdy usiłuje on wszelkimi sposobami pomóc jego dłużnikowi lub udermnić lichwiarskie praktyki. Jemu wolno będzie was ze skóry obdzierać, a nam nie” — mówi Stach dosypując biedniaczce z cukierni gospodarza, go zboża. „Powiedział mi się, nam” samo i siły mi się potroły, gdy zadawałam Wawrzkowej worek na plecy”.

W taki sposób dokonuje się ostateczne skryształowanie klasowej postawy Stacha, jego klasowej solidarności z biedniakami, jako moralnej podstawy stosunku do życia. Tym samym więc pisarz przełamuje stary schemat „szkoły” i zbliża się do konstrukcyjnej osi autobiografii „świadomej”, „robotniczej” — do obrazu narastania rewolucyjnej postawy bohatera. Tom „Pod Łysicą” ukazuje nam wstępny, prymitywny jeszcze etap kształtowania się tej świadomości, zaś naleciałości starych ujęć w wielu wypadkach paraliżują jego wynowienie, niemniej problem został postawiony właściwie. W ten sposób „szkoła” staje się i okres pasji czy parobkowania u Gryzonia; funkcje nauczycielskie obejmują zaś ścierające się wpływy parobka Wieka i Kandydiera. Wiek uczy taktycznego konformizmu („Nie twój chleb jes, to musisz robić, co ci kżo...”, ale swoje se myśl, boś słaby i kżdy cie ukrzywdził może”), a gdy przeciwnie przez kulaka struna pęknie — anarchicznego ale dotkliwego dla bogaczy buntu. Kandydier uczy: gdy się wszystkie parobki w kupe weźno, gdy robisz u tych psiekirów przestano to uny z tyłu dżeczno”. Zaś Alek co był „u bolszewików”, podsuwa Stachowi inne uzasadnienie wderówki do szkoły niż kariera „choć nauczyciela”: „Twardych ludzi na nich trzeba i mądrych”.

Pewne osłabienie tej słusznej ideowo i artystycznie linii motywującej i konstrukcyjnej, jaką jest klasowa edukacja biedniackiego dziecka, to w dużej mierze wina ulegania starym błędom ujęcia „życiorysu chłopca”. I w dużej mierze także wina ulegania tradycji burżuazyjnego opisu „lat szczęśliwych”, tak widocznego zwłaszcza w części „Dziecko”. Zasadniczy błąd tkwi tu w porporcji. Pryzmat dziecięcej naiwności w ocenie świata może być przy dużej czułości autora dobrym chwytym, ironicznie wypunktowującym pewne elementy obrazu rzeczywistości. Jako punkt widzenia jedyny kryje w sobie bardzo wiele niebezpieczeństw sptyczenia i sprymitywizacji wiedzy o życiu. Uniknąć tego można tylko przy specyficznym usławieniu tematyki i tu prawie za wsze uzupełniać trzeba obserwację dziecka normalną perspektywą „dorosłego człowieka”.

Właściwe rozwiązanie tego problemu dają liczne powieści radzieckie, osnute na tematyce radzieckiej, osnute na tematyce radzieckiej. Tu jednak jako zasadniczy problem wysuwa się wykazanie

wychowawczych walorów radzieckiego życia (Dwaj kapitanowie Kawerina) czy pełnego świadomego odpowiedzialnego udziału radzieckich dzieci i młodzieży we wspólnej gospodarce („Stepowe słońce” Pawlenki). I tutaj też powieści takie potrafią dać szerszy obraz rzeczywistości (np. „Samotny biały żagiel” Katajewa), niż to ma miejsce u Orla.

„Pod Łysicą”, książka zamykająca się całkowicie w granicach doświadczeń pętnolatka (skoro nie mamy jeszcze pełnego cyklu recenent nie ma prawa wierzyć autorowi na kredyt, że sprawy te ustawi pełniej i bogaciej w następnych tomach), raz wyraźnie tym naruszeniem proporcji. Tu tkwi także przyczyna mglistości postaci Kandydiera, skoro — i słusznie — Stach nie bardzo nawet powtórzyć umie rozmowy z nim. Tu tkwi przyczyna ubóstwa politycznego oblicza wsi. Naiwna relacja z opowiadań Alka z czasów wojny interwencyjnej ze Związkiem Radzieckim oraz słowa tegoż Alka o przewrocie majowym — „Prezydenta usunęli, sejm rozpe-dzili, wszystko w swoje ręce zagarnęli, a naród, jak te barany — cicho siedzi” — słowa padające ubocznie, notowane w pamięci mechanicznie, nie wywołujące głębszych, samodzielnych przemyśleń chłopca, ani zmiany w obserwowanym przez

niego życiu wsi — oto, co dociera do książki z bogatej problematyki politycznej epoki.

Dalsze losy Stacha Jastrzębia zapowiadają dwa zdarzenia: podróż na egzamin, która stawia dziecku chłopskie twarz w twarz z problematyką miasta: „Patrzmy z Agatą bez słowa: Fabryki miasto i my” — oraz reakcja chłopca na wieść o aresztowaniu Kandydiera — „Ode mnie radość ucieciała. Nowe życie zaczynało się znów od zagadek”. Wartość dalszych tomów powieści Stanisława Orla zależy od tego, w jakim stopniu „fabryki i miasto” wytłumacza Stachowi „zagadkę” aresztowania Kandydiera. W jakim stopniu tematyka wrzastania rewolucyjnej świadomości bohatera zapanuje i pozwoli autorowi ukazać w sposób pełny i bogaty najistotniejszy, najgłębszy nurt spraw epoki.

Debiut powieściowy Stanisława Orla należy do bezspornie udanych. Wykazany w recenzji nacisk starych schematów osłabił tylko, lecz nie zniszczył tego, co jest podstawową wartością książki: od dawna oczekiwanego klasowego obrazu losu bohatera z biedniackich mas chłopskich w okresie 20-lecia, losu, który wyjaśnić nam powinien drogi, jakimi masy te szły do pozycji sojusznika proletariatu w dziele budowy socjalizmu.

Maria Żmigrodzka

BRONISŁAW CIRLIC

ALOJZY JIRASEK —



A. Jirasek

Foto Czechosłow. Osr. Inform.

Gdy w stulecie urodzin wielkiego pisarza i patriotę czeskiego — Alojzego Jiraseka (1851—1930) wspomniamy życie, dzieło i zasługi wybitnego twórcy, trudno nie napomknąć czytelnikom o jego stosunku do Polski i Polaków. Na przełomie wieków Jirasek uważany był w Czechach za jednego z największych przyjaciół narodu polskiego, oddanego gorąco sprawie współpracy i porozumienia czesko-polskiego. Nie dziwi więc nas fakt, że przed trzydziestu laty Zdzisław Dębicki, kreśląc w „Tygodniku Ilustrowanym” sylwetki „siedmiu największych przyjaciół Polski nad Woltwą”, na pierwszym miejscu umieścił Alojzego Jiraseka. Sam zaś Jirasek mówił o sobie: „Jestem gorącym wyznawcą porozumienia polsko-czeskiego, jak również od wczesnej młodości zapalonym miłośnikiem staunego piśmiennictwa polskiego”.

Pierwszy raz zetknął się bliżej Jirasek ze sprawą Polski i Polaków podczas powstania styczniowego jako uczeń gimnazjum. Słyszał wtedy o zwycięstwach bojach powstańców i ich przywódcach. Zresztą całe postępowe i narodowo uświadomione Czechy były głęboko poruszone wydarzeniami w Polsce. W 1867 r. przyszły pisarz przeniósł się do wyższych klas gimnazjalnych do Hradca Kralowea, dokąd to rząd austriacki interwował blisko 900 powstańców z Galicji. Uwzięni Polacy często przekradali się do miasta, odwiedzając sprzyjające im rodziny hradeckie. Często uciekali z więzienia pojedynczo lub grupami, wspierani przez uczniów i ludność okoliczną. Wielkie skupisko powstańców polskich jeszcze bardziej sprzyjało polonofilskiej atmosferze, która i tak ożywała to miasto. Wtedy to wielu uczniów poświęca się nauce języków słowiańskich. Alojzy Jirasek przylgnął do polszczyzny, której zaczął się uczyć z bardzo wówczas popularnej „Krótkiej gramatyki polskiej” D. A. Szpachta. Już wtedy zaczyna czytać polskie książki, których młodym polonofilom dostarcza ich kolega, Franciszek Jarek. Tą drogą dostały się do rąk młodego Jiraseka wiersze Brodzińskiego, Malczewskiego, Mickiewicza, Słowackiego i Syromkoma. Ułubione zwrotki skrzętnie zapisywał do specjalnego albumu, który zachował do końca życia. Co do powieści polskich takich autorów jak: Józef Korzeniowski, Henryk Rzewuski, Michał Czajkowski i J. I. Kraszewski, to czytał je przeważnie w przekładach czeskich Fr. P. Volaka oraz F. L. Vorliczki.

Alois Jirasek zachował i później żywie zainteresowanie wszystkim, co w jakikolwiek sposób dotyczyło Polski. Jako nauczyciel gimnazjalny uczestniczył w uroczystości przyjęcia na ziemi ojczystej zwłok czesko-polskiego poety Bolesława Jabłońskiego, rodem Czecha, który od

1847 r. mieszkał w Krakowie na Zwierzyńcu i tamże zmarł w 1881 r. Do ojczyzny sprowadził zwłoki poety Edwarda Jelinek, znany popularyzator kultury polskiej w Czechach i czeskiej w Polsce, który opowiadał wówczas Jirasekowi o Polakach, o ich serdeczności dla narodu czeskiego, czego Jirasek nie ośmielał zapisać w swym pamiętniku. Na terenie Pragi zaś bliżej się stykał pisarz ze znanymi wielkimi przyjaciółmi narodu polskiego, wspomnianymi już Jelenkiem, Adolfem Czernym i Franciszkiem Kwapiem. Przez całe życie zachował Jirasek dla Polaków niezmienioną miłą przyjaźń i sympatię, podziw dla ich walk narodowych i rewolucyjnych, dla ich literatury i kultury.

Pierwszy ślad tego stosunku do Polski i Polaków napotykamy w opowiadaniu „Gość” (1) z 1875 r. Podjęte do napisania utworu dało mu spotkanie z Polakiem, oficerem w wojsku pruskim, który w czasie wojny prusko-austriackiej 1866 r. i bitwy na wzgórzu Branka w Górach Orlickich pod Nachodem był gościem w domu Jiraseków w Hronowie. Jirasek odmalował tu tragedię Polaka, ginącego w interesie swoich ciemności.

W pięć lat później w powieści „Uroki świata” (2) znowu wraca Jirasek do Polaków. Akcja powieści toczy się w stolicy Austrii w epoce Kongresu Wiedeńskiego (1815 r.), który miał uregulować zagmatwane stosunki europejskie, a przyniósł ostatecznie reakcyjne „Święte Przymierze”. Ośrodkiem zainteresowań Jiraseka jest tu polska rodzina, przebywająca w Wiedniu podczas Kongresu, opisana przez autora z największą sympatią.

Biografie Jiraseka, krytycy jego dzieła i historycy literatury oraz polscy kronikarze pominieli fakt, że Jirasek swych „Pis o g o t o w o c o w” (3) poświęcił Polakom i braterstwu polsko-czeskiemu. Kimże byli ci Psiogłowcy czyli Chodowie?

„Historycy badają źródło ich pochodzenia”, powiada T. Szablowski, „powieściopisarze opisują ich dolę i niedolę, poeci, (w ich kramie Schiller swych „Zbojów” umieścił), malarze i muzycy szukają pośród nich natchnienia do swoich arcydzieł”. Tak, to — Polacy! (4) Otóż za czasów wojen polskich Miśkajów i Bolesławów z czeskimmi Bolesławami i Brzetysławami uprowadzono wzajemnie licznych jeńców na osiedlenie. Mówią to zgodnie kronikarze czescy: Dalimil, Kozma Praski, Hajeck z Liboczan. Potwierdzają w nowszych czasach historycy czescy, podróżnicy polscy i czescy, popularyzatorzy wiedzy o słowiańszczyźnie. Wspomniamy dla przykładu: Jelenka, T. Szablowskiego, Kołodzieja i innych. Na przełomie wieków pisali o tych sprawach zwłaszcza: „Dziennik Poznański”, „Kraj”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Nowa Reforma”, „Kłosy”. Książki Brzetysław I (1037—1053), zwany Achillesem czeskim, który miał przywieźć



Chodowie w strojach ludowych

JAN JANKOWSKI

B E Z N A D Z I E J N E L A T A

Wspomnienia robotnicze*)

W dwa tygodnie po pogrzebie matki pochowali niemowlę. Brzezina ta śmierć zaskoczyła. Piotr słyszał, jak mówił babci, że to siostra matki zamorzyła dziecaka. — „Gdyby jej dał zabitego prosię, umiałaby je odchucać, ale dziecka po siostrze, chociaż chłopak był jak rydz, zmarnowała“.

Za białą trumienką szli tylko najbliżsi. Proszyl śnieg i topniał na mokrej ziemi.

Po powrocie z cmentarza spożyli po talerzu bruki z zębkami. Brzezina korzystając z wolnego dnia wyciągnął wózek i zabrawszy syna pojechał przesiewać żużel, bo nie było opału. Przy pomocy roztawionej siły przesiewali żużel do zmierzchu. Piotr przykucał na piętach, wybierał szlak i kamuszek.

Pod wieczór zerwał się wiatr nasykający deszczem i porwisty podmuchami ciął im twarze. Pochylił twarz i parli naprzód. Wózek tylko podskakiwał na kociach łbach.

Wrócili do domu zziębnięci na kość.

— Dużoście przesiadli? — zapytała babcia. Siedziała przy lampie naftowej i robiła pończochę, której matka nie zdążyła dokończyć.

— Dobre dwa worki... —

Skrzywiła się.

— Bez węgla i tak się nie będzie palić...

— Pójdę dziś, może coś urwę, umówiliśmy się z Marchewką...

— Człowieku, trzecia noc marnujesz! Kiedy się wypiszesz? —

— Co robić, pilnuję... Brzezina rozierał zeszytnięte palce. —

Roboty teraz też pełne ręce, aż się koszuła do skóry lepi. Zdewastowali prawie cały tabor kolejowy.

— Potrzebny był ten strajk. Ludzi w większą jeszcze biedę wpędził.

— Potrzebny, niepotrzebny, w końcu robiliby z człowiekiem, co by chcieli...

Staruszka odłożyła pończochę, wyjęła moczące się od rana dwa śledzie, ułożyła na półmisku, wkroiła cebulę, zalała wodą i octem i odstawiała na okno, zabierając się do plukania kartofli w łupinie.

— Dzieciarnia śledziła każdy ruch jej rąk, przełykając ślinę. Był piątek, jedyne wieczór w tygodniu, kiedy mieli nadzieję najęść się do syta. Niestety, często ową mizerną nadzieję niweczyła przygrzana z o-biadu kartoflanka. Działo się tak, zwykle przed pierwszym...

Brzezina podkreślił lampkę.

— Podkreś, podkreś, a nafty tylko tyle, co w lampie! — odezwała się starowina.

— Co robić, kiedy ciemno...

Deszcz począł siec o szyby, w kominie huczał wiatr. Dzieciom serca ścisnęły się nagła, niewypowiedziana żalnością. Na kominku w

garnku perkotały kartofle. Staruszka nadziwała jeden na widelec, skubnęła palcem łupinę.

— Już doszły. —

Brzezina wstał. „Dajcie spokój — odjeżdżę“. Para zapęliła kuchnię. Wysypała kartofle do miski i postawił na stole. Staruszka rozdawała śledzie, każdemu z osobna na talerzyk, dołala rozcieńczonego octu z cebulką. Wyciągał ręce po mleczko i ikrę. Niewiele tego było. Ale im oczy śmiały się do uczy. Kartofle parzyły palce. Nie zważali na to. Obierali je z wielką wprawą i pochłaniali łapczywie zagryzając śledzie, ale ostrożnie, żeby starczyło do końca...

— Ho! ho! bogato u nas, nie tak jak u murarzy! — zaśmiał się Brzezina.

— A jak jest u murarzy? — zapytała Basia z buzią pełną jedzenia.

— Jak? A to nie wiesz głuptas! Otóż z pierwszym mrozem kupują śledzia i wieszają nad stołem, na sznurku, dla smaku...

— Dlaczego? — zdziwiła się Jadwisia.

— Bo w zimie nic się nie buduje, murarze nie pracują i nie mają nawet na śledzia. A wy, jeszcze grymasicie, jeszcze narzekacie, że wam źle.

Babcia przeżuwała kartofle i papka karmila małenstwo, bo nie było mleka. Koza lada dzień miała się okocić...

Złenacka gwałtowny podmuch wichru z traskiem rozwarł drzwi w korytarzu i zahuczał w sieni. Wzdrygnęli się wszyscy. Brzezina podszedł zamknąć drzwi.

— Psia pogoda! — mruknął wróciwszy i począł przybijać latkę.

— Ej, musi jej tam być straszno, pod tymi drzewami na cmentarzu, taka była bojaźliwa — zasłochala nagle staruszka. Ścisnęli się wokół lampy.

Deszcz czy grad znowu zadzwonił o szyby.

Dzieci wpatrywały się w okno zniechęconymi oczyma.

Piotr huśtał Zochę na kolanach. Grymasiła nieco.

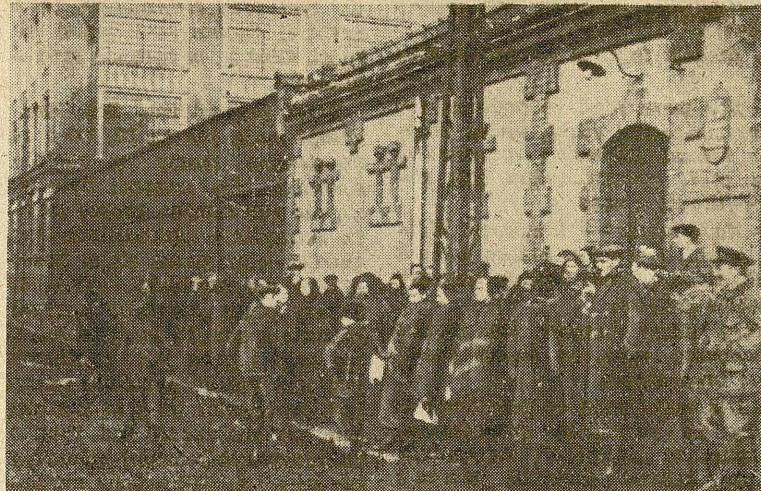
— Trzeba ją położyć — odezwał się ojciec, jest śpiąca, już oczka mruży.

— Zaraz, zaraz, tylko żywiznę nakarmię — odpowiedziała staruszka.

ka, przyrządzając pokarm dla wieprzka i kozy.

Wzięła ze stołu lampę — chodźcie też spać dziewczęta, ośma chodźcie. Ociagały się. — Nie bójcie się, zostaną przy was.

Zapanowała cisza. Zegar ścienny tyktał jednostajnie.



Tłumy bezrobotnych przed fabryką (1936 r.)

Laboratorium fot. Wyd. Hist. Partii KC PZPR

— Całe mają trzewiczki, całe! — mrucał Brzezina z ironią, oglądając obuwie córek. — Jak to łażą, powiedziałyby kto, że umyślnie nogi wykrzywiali, aby przejeżdżać pod drzewo. Ot dziewczęta! Ale niech się tylko ociepli, boso będą chodźcie! Nie będą sobie głowy suszyły, kiedy nie chcą mnie słuchać!

Piotr zasłonił uszy i pochylony nad książką cicho poruszał ustami. Brzezina zajął mu przez ramie.

— Tak to lekko odrabiasz? Co to za książka? — odwrócił kartę tytułową. — Szwo... szwo-le-ze-rowskie g... gwardii — sylabizował.

— Przecież to nie czytanka. Nie wstyd ci ojca oszukiwać! Sliniacz palce odwrócił kilkanaście kartek. Zainteresował się ilustracjami.

— Poczytaj trochę.

Chłopak odetchnął z widoczną ulgą. Miał nadzieję, że kiedy ojciec się zasłucha, zapomni o nauce i pozwoli mu poczytać nieco dłużej.

— Czyta jak książkę z ambony! — odezwała się babunia, budząc się znowu z drzemki przy wygasają-

cym piecu — szkoła tylko, że było co... Za moich czasów w wieczory zimowe, przy kołowrotku, albo darcie pierza, czytało się żywoty świętych. To była książka Gruba jak mszał, w czerwonej okładce o złotych brzegach. Czytało się ją całymi latami.

barwy, rozległy pełen przygód. Staruszka zasnęła na dobre. Zegar mierzył nieustrudzenie czas jednostajnym tik-tak! Chłopiec od czasu do czasu unosił głowę, nasłuchiwał i niespokojnie spoglądał na okno.

Minęła północ, kiedy z podwórza usłyszał odgłos kroków, rozległ się łomot upadającego worka, a potem hukot brył spuszczonego przez okienko do piwnicy. Odetchnął „Do, bry, węgiel, w kawałkach!“ — przemknęło mu przez głowę...

Do kuchni wszedł ojciec...

— Jeszcze nie śpisz? — zapytał, wycierając twarz i kark fularową chustką.

Staruszka oknęła się.

— A to huncfut, mówiłam, żeby się położył! Chłopak nieusłuchany! — Do łóżka ani z łóżka bałem go nie wygnąć! A wam jak poszło? — mrugnęła żółtymi oczyma.

— Przyniosłem worek, ale pilnuję psiawiary. Strzelali za nami.

— Jezu Maria! Bóg się Boga? Człowieku!

— No nic się nie stało. Noc ciemna, że nosa nie widać. Ale Marchewka worek zostawił, z pustymi rękoma wrócił, — mówiąc do Brzeziny oglądał skaleczoną rękę.

— A tobie co w rękę! Całą skórę masz zdarta!

Przewrócił się o druty. Kolanem też dobrze stuknięt! Otari krew o manchesterowe spodnie.

— Jak tam z pogodą?

— Przestało padać i ma się na mroz. Warto byłoby jeszcze raz obrócić!

— Daj spokój. Ziego nie trzeba kusić! Z sieni doszło ich astmatyczne sapanie. Przez uchylone drzwi ukazała się nalana, o ciemno - o- liwkowej cerze, twarz Marchewki.

— No idziesz, Janie?

— A bo ja ci wiem... podrapał się za uchem, a ty chcesz koniecznie?

— Przecież worka im nie zostawię, worek jak nowy, skoda.

— Znajdziesz go w tej ciemnicy?

— Pamiętam drogę, wyścagam.

— Wejdźcie do kuchni, nie stojcie w sieni — zapraszała staruszka.

— Nie będę wam blocił, zaraz idziemy...

Brzezina sięgnął po czapkę.

— Kusi ci jednak?

— Co robić, nie zawsze jest okazja, a we dwóch rażniej.

Jan Jankowski

PRZYJACIEL POLAKÓW*)

do Pragi zwłoki św. Wojciecha, uprowadził w r. 1039 z miasta Giecz (alias Giecz, dziś wioska w pobliżu Srody, w woj. poznańskim) pewną liczbę miejscowej, polskiej ludności do Czech i osiedlił ją w okolicach miasta Domažlice, nad granicą bawarską. Osiedlenie używano w tamtejszych puszczach pogranicznych do karczowania lasów oraz do ochrony granic w charakterze strażników leśnych. Nazywano ich Chodami, bo ze swymi psami chodzili ciągle po szczytach Szumawy wypatrując wrogów. Polacy sprowadzeni do Czech rozdzielili się na podstawie osobnego przywileju prawem polskim. W r. 1325 Jan Luksemburczyk zamienił ich prawo polskie na prawo niemieckie, ale mimo to korzystali Chodowie z licznych przywilejów. Późniejsze losy Chodów czyli Psiołgów ulegały różnym przemianom, bywali zastawiani, sprzedawani i odsprzedawani. Los ich przybrał jednak szczególnie nieszczęśliwy obrót po bitwie pod Białą Górą, w której Chodowie, jako wierni poddani króla czeskiego, stanęli zdecydowanie po jego stronie. W wyniku klęski kraj chodów został splądrowany, wsie zniszczone i spalone. Chodów jako buntowników pozbawiono dawnych praw i przywilejów i sprzedano feudalowi niemieckiemu Wolfgangowi Wilhelmowi z Lamingen. Chodowie mimo nazwy „perpetuum silentium“ — wiecznego milczenia, nie wyrzekli się nadziei pozbycia się narzuconej im pańszczyzny, niewoli i tyranii. Udowadniając swe przywileje prawami spisnymi na pergaminach latami toczyli nierówny spór. Sady szlacheckie, rzecz jasna, nie chciały potwierdzić oczywistego prawa Chodów. W liczbie 400 ludzi powstał oni przeciw panu feudalnemu i wojskom cesarskim. Powstał jednak został krwawo stłumiony, Chodowie popadli w jeszcze cięższą niewolę, ale pozostało zarzewie dalszej walki. Ich delegaci zostali osadzeni na karę wieletnietego więzienia, a piomieny rzecznik obrony ludu chodów Jan Sladky Kozina został stracony w 1695 r. Pamięć o tym bohaterze przetrwała wśród ludu po dzień dzisiejszy, wpłcioną w niejedną pieśń i legendę, a wędrującemu po tamtych stronach Jiraskowi powiedziała jakaś staruszka: „Nie nie wiem, panie, ale książkę dziekan posiada księgi, w których to wszystko dokładnie jest opisane. Wiem tyle, że Kozina został stracony niewinnie i że jest święty“.

Wśród Chodów zachowała się także pamięć dalekiego pochodzenia polskiego w po dziś dzień śpiewanej piosence, którą notują zarówno czeszy, jak i polscy kronikarze: „Ja jsem chlapik z Poliske, Dobrze mi do hekserscirka. Ja jsem chlapik z Poliske, Dobrze mi do he.“

Psali do mnie kutsztu pani, Ze koni mie vodhovaži, Ze musim na vojnu, Ze musim za nie.

Tych to potomków Polaków i ich walkę z feudalami i pańszczyzną uczynił Alojzy Jirasek ośrodkiem „Psiołgów“, jednej z najlepszych rewolucyjnych powieści czeskich.

Szczególnie polonofilski charakter ma obszerna opowiadanie „Sobota“ (1887), w którym Jirasek artystycznie zobrazował swe wspomnienia o powstaniu polskim 1863 r. i wyraził sympatię dla powstańców polskich i ich sprawy. Odtworzył w nim również duże poruszenie w społeczeństwie czeskim wywołane wydarzeniami w Polsce. Lud czeski stanął bez zastrzeżeń po stronie Polaków, uważając ich walkę za częścią i drogową swą własną walkę. W „Tęczy“ wskazywał Jirasek kulmi-



Chorąży Psiołgów

Myśl wspólnoty słowiańskiej nieco później rozwinie Jirasek szczególnie w dramacie „Gero“. W utworach „Stara wojenka“ i „Na walcach szlachackich“ oraz w kronice epoki odrodzenia „F. L. Veku“ śledzi losy czeskich bojowników na terenie Polski, pisarz nosił się z myślą o szerszym opracowaniu wspólnych walk polsko-czesko-ruskich z krzyżakami na wzór „Krzyżaków“ Sienkiewicza, lecz niestety już nie zdążył dzieła tego napisać.

Idąc za najstarszymi legendami czeskimi Jirasek w pięknie artystycznie opracowanych „Starych opowieściach czeskich“ (1894 r.) we wstępnej legendzie o Czechu i Lechu — „Dwa bracia“ (w oryg. „O Czechu“) wskazał na starożytną tradycję pokrewieństwa i wspólnoty wszystkich Słowian, w szczególności zaś braci — Czechów i Polaków. W innej opowieści opiewał wspólnotę polsko-czesko-słowackiego bohatera ludowego, Janosika. O rewolucyjnej wspólnoty czesko-polskiej pisał również w innych utworach, jak: „Bractwo“, „Król husycki“, „Jan Ziłka“ i „Jan Hus“.

Dzieło Alojzego Jiraska odegrało w przeszłości i odgrywa obecnie olbrzymią rolę w sprawie polsko-czeskiego zbliżenia kulturalnego.

Bronisław Chliński

1) Kobery kalendarz: Dzieła zebrane w wyd. J. Otta w Pradze, T. 12, „Z ruznych dob“ II. Dzieła zebrane podaje według pierwszego wydania J. Otta.

2) Uroki świata napisane dla czasopisma „Lumir“ 1880; później oddzielnie wyd. w 1883 r.; Dzieła zebrane t. 17.

3) „Psiołgowie“ — „Kvety“ 1884; Dzieła zebrane, T. 21.

4) Szabowski Teodor — „Tygodnik Ilustrowany“ 1890, II, nr. 30.

5) Edward Jelinek — „Tygodnik Ilustrowany“, 1883, II, nr. 38-37; „Kraj“, 1904, I, nr. 23.

6) Kolodziej — „Kraj“ R. 1904, nr. 23, s. 6-7.

7) „Sobota“ — „Osveta“ 1887; Dzieła zebrane, T. 24 — „Doma a jiné obrazky“.

8) „Tęczyński stós“ 1890, „Kvety“ R. 1891, „Z ruznych dob“ II — Dzieła zebrane t. 12.

9) Artykuł omawiający całokształt twórczości A. Jiraska ukazał się w 38 nrze „Wsi“.

WŁADYSŁAW SUDAK

W S Z C Z E B R Z E S Z Y N I E

W czwartym miesiącu po wyjściu z więzienia zostałem znowu aresztowany.

W więzieniu zostałem wielu towarzyszy, którzy jeszcze czekali na sprawę i dziwili się, że tak prędko wróciłem, a towarzyszy, którzy byli starostą komuny więziennej, rzekł mi, że funkcję żartując, że przyszedł dawny starosta z urlopu. Po kilku miesiącach zawiadomiono nas piśmiennicę, że akt oskarżenia możemy przejrzeć w sądzie, do którego nas policja doprowadzi.

Oskarżonych było pięciu: Ziaja Stanisław, Goldwag Michał, Radzik Piotr, Feder i Dudak. Ziaja tłumaczył się, że jechał, jako korepetytor przygotować kogoś do egzaminu i wstąpił do szewca naprawić pantofle — ukazywał dziurawe podszewy. Ja przyszedłem do starego Fedra, który handlował kofinami, aby kupić konia. Goldwag przyszedł po brązowe pantofle, Radzik towarzyszył mu do Zamościa, bo ma tam narzeczoną i chce się z nią widzieć.

Gdy nas prowadzono na sprawę, byliśmy skuci w kajdany parami: ja z Radzikiem, Goldwag z Fedrem, a Ziaja był skuty osobno i doczepiony do wspólnego łańcucha, do którego byliśmy wszyscy przykuci. Otoczeni kordonem policji dosiędliśmy do sądu. Na sprawę przybyli również chłopcy, którzy byli świadkami oskarżenia.

Pierwszy chłop, świadek prokuratora zeznał: „Proszę sądu, ja nie słyszę na oba uszy, bo policja na posterunku w lochach wybiła mi bębenki, bito mnie przez całą dobę zmuszając mnie, abym świadczył przeciwko ludziom, których spotkałem u szewca i wcale ich nie znam. Policja odebrała mi zdrowie i obecnie nie mogę pracować, widzę ludzi ale nie słyszę ich“.

Na sprawie sądowej obrona nie tylko obalila akt oskarżenia, ale wykazała, że ten, kto go pisał, nie znał programu KPP. Komuniści nie posługują się bronią, nie uprawiają dywersji i palenia dworów...

Przez złośliwość nierozwiniętego umysłowo świadka spowodowano areszt, ale nie udowodniono, że to była konferencja KPP.

Po naradzie sąd okręgowy w Zamościu odczytał wyrok: Ziaja Stanisław skazany na 6 lat więzienia z pobawieniem praw na 10 lat, Dudak Władysław w Włodzimierz skazany na 6 lat więzienia z pobawieniem na 10 lat, Radzik Piotr Goldwag Michał, Feder po 5 lat każdy z pobawieniem praw.

Po sprawie zostaliśmy rozwiezieni do więzień karnych. Ziaja został wzięty do więzienia w Drohobycz, a mnie, Radzika i

Goldwaga odesłano do Janowa Lubelskiego. Do Janowa przywieziono nas w nocy, nigdzie w oknach światła nie było. Posadzono nas na wyższym piętrze w obszernej celi, w której nie było łóżek, a jedynie parę stołków metrowej długości.

W tym czasie przejechał nowy transport 5-osobowy z Lublina w którym byli Wajskop, Jugman i Sawin.

Na apelu o godzinie 7 wieczór rozpoczęli oni śpiewać Międzynarodówkę. Podtrzymaliśmy ich śpiew półgłosem, po parę osób, w każdej sali. Wpadła policja.

Masakrę uplanowano z góry, gdyż straż więzienna była pijana i w bestialski sposób rzucała się na więźniów, kopiąc i tratując towarzyszy leżących na podłodze. Gdy oprawcy uważali, że ofiara ma już dość, wyprowadzono zbitego towarzysza do więźniów karnych, nakazując im „bić komunistę“. Naczelnik chyba uważał, że oprawcy nie dadzą rady wszystkim pobić, gdyż sprowadził motorową sikawkę. Wkrótce przybyła straż ogniowa, która uruchomiła sikawkę i oddaliła się. Przybył również komisarz z policją. Nie brali jednak udziału w masakrze, lecz stali za bramą i przyglądali się, jak motorowa sikawka pompowała wodę.

Podczas święta morza było sporo ludzi w kościele. Słyszac krzyki podobno podchodzili pod więzienie, a policja ich rozprędała.

Węże przeciągnięto przez podwórze więzienia i przez okna do cel. Oprawcy poczęli kolejno lać wodę w twarze, tego kto się odwrócił plecami — oprawca z całej siły uderzał metalową prądnicą, po czym poturbowanego odprowadzali do pospolitych zbrodniarzy.

Było to istne piekło, którego nie jestem w stanie opisać. Gdy mnie wprowadzono do kryminalnych widać było, na nich okropne przerażenie, a w celach politycznych rozlegał się jak i krzyk: „Precz z bitem, kaci“. Huk motoru i szum wody oraz jęki bitych towarzyszy rozlegały się potężnym echem do późnego wieczora.

Po masakrze wszystkich towarzyszy zmieszano z kryminalnymi, którzy jednak ustosunkowali się do nas przychylnie, za wyjątkiem pewnego zbrodniarza, który zgnęał się przez całą noc nad paroma towarzyszami.

W więzieniu Janowskim bardzo łatwo można się skomunikować na migi, gdyż wszystkie okna wychodzą na ciasne podwórce. Rano ogłosiliśmy głodówkę. Naczelnik bojąc się, że możemy pociągnąć za sobą pospolitych więźniów, dał rozpo-

ządzenia, aby nas z powrotem spro-wadzić do dawnych cel. Gdy przyszedliśmy na stare miejsce cele były jeszcze mokre, lecz już woda wy-lana. Następnego dnia zastosowano wobec nas sztuczne karmienie.

Działo się to w ten sposób: wcho-dziło dwóch oddziałowych do celi, brali towarzysza pod rękę i ciągnęli go na drugie piętro do niedużej celi, tu sadzano go przemocą do stołki i wykręcano w tył ręce. Dwóch oddziałowych trzymało nie-szczęśliwego, a trzeci usiłował go „karmić“ za pomocą cienkiej gumowej rurki wysmarowanej wazeli-ną. Gdy więzień zaciskał zęby, rurkę wkładano mu do nosa i wle-wano nie duży garnek rzadkiej lury, po czym rurkę wycierano pod-artym pokrzywowym workiem, który leżał na podłodze. W ten sposób w dniu głodówki zamordowano w Janowie 5 towarzyszy, z których Notolitu, Tysa i Gądziewicz zmarli na miejscu, a Drozd i Stepaniszyn zmarli we Wronkach w dniu przy-jazdu.

W 6-tym dniu głodówki zostałem wywieziony do Wronek z grupą to-warzyszy w liczbie 64 osób.

Wygląd nasz w dniu wyjazdu był okropny i budził przerażenie nawet u naszych oprawców. Byliśmy po-

kiem przerażony. Kazał nas rozkuć, mówiąc: „Chyba nie będziecie się rzucać na policję, aby ją rozbroić“. Gdy komisarz poszedł, słyszałem jak jeden policjant powiedział do drugiego: „Ty, patrz, co z tych lu-dzi zrobiono“.

We Wronkach zostaliśmy umie-szczeni w małych celkach tak zwanych „trumnach“. Siedzieliśmy tam przez parę miesięcy, możliwe, że siedzielibyśmy dłużej, ale u więźniów kryjących natchnęli bunt i przeprowadzono nas do central-nego więzienia. Mnie osadzono na skrzydle „C“, w winkle. Światło tu niemal nie dochodziło, a że grunt we Wronkach jest niski, to w tym winkle na parterze stała była wil-gość. Pomimo interwencji starosty komuny więziennej nie przeniesio-no mnie do innej celi i przesiedzia-łem w tamtej dziurze przez cały rok.

Kiedy Wronki jako więzienie dla politycznych poczęto likwidować, zostałem wywieziony z grupą to-warzyszy do Grudziądza, gdzie ob-owiązywał nowy regulamin wię-zieny. Grupa nasza była dość licz-na i postanowiliśmy nie poddawać się tak łatwo.

Z więzienia wyszedłem 1937 roku późną jesienią, wynosząc skutki



Strajk okupacyjny w fabryce przedwzrzesniowej

Laboratorium fot. Wyd. Hist. Partii KC PZPR

dlugofalowej akcji zarosnąć i wy-nędziali, a po masakrze każdy był chory i ledwie mogliśmy się utrzy-mać na nogach. Towarzysze, któ-ry byli silniejsi prowadzili w szpi-talu szczebrzeszyskim, jak i le-karstwom, którym mi udzielał be-interesownie doktor Klukowski, zawiadamiając życie. Po przyjęciu do zdrowia zaopiekowali się mną to-warzysze.

Władysław Sudak

*) Z materiałów konkursowych PIW i Polskiego Radia.

